

Dziś w numerze: J. WILMANSKI *Wdzięczność i kwiaty* • T. WOJCIECHOWSKA *Stocznowiec*
 – zawód romantyczny • A. HAMPEL *Teatr studencki głosem postępu* • *Symbole*
w kamieniu zaklęte • *Czy skarpetka może być dziełem sztuki?*

Odgłosy



47 (627)
 23 XI. 1969 r.
 Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



Fot. W. Parys

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI

W drodze po belferskie ostrogi

Fragment wspomnień

Dowiedziawszy się o uruchomieniu przez dyrektora Seminarium Nauczycielskiego, Mariana Durę, prywatnego Seminarijnego Kursu Maturalnego, przygotowującego do egzaminu — zapisałem się. Na Kursie mieliśmy wykłady z historii wychowania, pedagogiki, psychologii, metodyki różnych przedmiotów oraz zajęcia techniczne. Uczęszczało nas około 30 osób, przeważały kobiety. Atmosfera była bardzo przyjemna, żyliśmy się szybko między sobą, byliśmy przecież mniej więcej w jednym wieku i wszyscy — absolwentami łódzkich szkół średnich. Chociaż za dnia przeważnie pracowaliśmy, to jednak w czasie przerw i po zajęciach bywało bardzo wesoło; dochodziły piosenki, kawały, zawiązywały się sympatie, nawet — miłości.

Naturalnie rozstrzygający wpływ na ukształtowanie się takiej atmosfery miał zespół wykładowców, ludzi bez wyjątku miłych i kulturalnych.

Należy tu wspomnieć przede wszystkim dyrektora Kursu, Mariana Durę. Reprezentował on rzetelną znajomość przedmiotu (historia wychowania), wykłady jego były żywe, interesujące, okraszone niekiedy dowcipem, co dla nas przychodzących już po kilkugodzinnej pracy miało duże znaczenie. Ponadto, w tym co mówił pobrzmiwała od czasu do czasu nutka sceptycyzmu czy subtelnej ironii. Nie podważało to w niczym szacunku dla różnych teorii wychowania uwarunkowanych przecież głównie prądami filozoficznymi, ale odsłaniało starą prawdę o tym, że co jakiś czas głoszone super nowoczes-

Dalszy ciąg na str. 3

WANDA KARCZEWSKA

O Ingardenie snach cybernetyce i księżycu

(Notatki z dziennika)

(WRZESIEŃ 1969 R.)

Wieczór w jednej z peryferyjnych bibliotek łódzkich. Na szczęście nie padają pytania w rodzaju: czy pani pisze ołówkiem, czy piórem, czy to wszystko jest z głowy czy z życia, czy jak pani tworzy to pije kawę, słucha radia czy musi mieć ciszę i moczyć nogi w ciepłej wodzie.

Ktoś z czytających — jak sam wyznaje — raczej dla relaksu, prosi o parę słów na temat powieści, tej pisanej przez pierwszą osobę, przez „ja”. Domyślam się: tej która powstała z przemiany „monologu wewnętrznego”, obywatelki się bez wszechwiedzącego Narratora-Autora. Tej w której Narrator występujący w pierwszej osobie daje w swoim własnym imieniu świadomie zawężoną, uwarunkowaną subiektywnie, niepewną wiedzę o świecie przedstawianym. Ten i ów z czytelników nieraz bierze taką powieść za utwór czysto autobiograficzny, dopatruje się w postaci Narratora ukrytego autora. Z czasem, po przeczytaniu kilku pozycji jednego pisarza, budzi się w takim czytelniku naiwne zdziwienie: kim ten piszący X nie był: komiwojażerem, redaktorem, obłąkanym sprzedawcą szpilek do wło-

sów, lekarzem, a w ostatnich książkach okazał się kobietą i dzieckiem.

Ale podobne „omyłki” (bezwiedne lub celowe) robią także niektórzy recenzenci i sprawozdawcy książkowi. Utożsamiają z Narratorem autora i jemu przypisują życiorys postaci książkowej, tego „bytu intencjonalnego” wraz z jego sposobem myślenia, uczucia i z jego wypowiedzianymi sądami. (Kiedyś na ten temat rozmowa z Leonem G.). Może więc dla przypomnienia coś z Ingardena, na którego tak lubimy się powoływać: „Należy odróżnić dwa sposoby występowania zdań orzekających, resp. quasi-sądów w dziele sztuki literackiej. Jedne z nich są wypowiedziane — jak to się zwykle mówi — przez autora, drugie natomiast w tekście dzieła przytoczone jako wypowiedzi jednej z osób przedstawionych... Nie wolno tedy — jak to się dzieje nieraz ze strony krytyków czy badaczy literatury — sądów wypowiedzianych przez osoby przedstawione wprowadzać poza obręb świata przedstawionego w danym dziele i interpretować je jako sądy o świecie realnym, bądź jako sądy wypowiedziane przez autora i wyrażające jego poglądy. Postępowanie takie zniekształca sens własny tego rodzaju są-

dów i wypacza strukturę własną dzieła”.

Uzupełnienie: Nie należy tego robić szczególnie tam gdzie autor jako Narrator w ogóle nie występuje.

• • •

Wydrukowałam w „Odgłosach” pod tytułem „Nieśmiertelny” fragment już całkowicie ukończonej powieści. Kilka urywków np. „Francuz” ogłosiłam uprzednio w prasie i radio. Robię to wbrew we wnętrznym oporom. Sens bowiem części, zwłaszcza wyszarpiętej z powieści wielowarstwowej, ma do spełnienia określona funkcję w całości, nie jest samosłużebny. Właściwie można go zrozumieć po zapoznaniu się z całością wyższego rzędu, jaką jest powieść. I fatalne: w przepisywaniu zginęło mi wyjaśnienie pod tekstem, że to właśnie fragment. Może z tego wynikać przeświadczenie, że jest to opowiadanie i błędne rozumienie tej prozy. Mea culpa. Zgubiłam też cudzy-

Dalszy ciąg na str. 4



W poniedziałek rozpoczęły się w HELSINKACH radziecko-amerykańskie rozmowy na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych. O dialogu tym mówiło się od dawna, jednak do rozmów nie dochodziło. Dopiero pewien wewnętrzny impas, w którym znalazła się administracja Nixona, przyspieszył jego decyzję. Elementami tego impasu są nie tylko: potężny protest przeciwko wojnie wietnamskiej, który wstrząsa Stanami Zjednoczonymi i utrzymujące się napięcie rasowe, lecz także jawne antynixonowskie nastawienie części prasy amerykańskiej, która skrzętnie wykorzystuje wszystkie potknięcia republikańskiej administracji oraz ciągle właściwie utrzymywane się tendencji inflacyjnej.

W tej sytuacji Nixon, kierując się nie tylko względami natury strategiczno-militarnej, ale i pogarszającą się pozycją swojej administracji, poczuł się zmuszony do podjęcia rozmów. W dalszym ciągu przeciwnie są im kółka militarno-przemysłowe, które zainteresowane są nieskrępowanym wycięciem zbrojeń.

Można przeto przewidywać, że rozpoczęte 17 bm. rokowania będą trudne i długotrwałe, a w Stanach Zjednoczonych ostro ścierać się będą dwie przeciwstawne tendencje: za i przeciw ograniczeniu systemu antyrakietowego, ilości i rozmiarów międzykontynentalnych rakiet, stanu liczebowego i jakościowego strategicznych bombowców i łodzi podwodnych oraz moratorium na wielogłowice, które to problemy są prawdziwym podobnym tematem rozmów w Helsinkach.

Ich znaczenia nie musimy podkreślać, dotyczą przecież najniebezpieczniejszego i najkosztowniejszego elementu zbrojeń. Zauważmy tylko, że przedstawiciele ZSRR i USA spotykają się w momencie, kiedy ich wzajemna zdolność niszczenia osiągnęła najwyższy poziom w historii.

W KAIRZE zakończyła się sesja Arabskiej Rady Obrony. Jej najważniejszymi decyzjami są: ponowne poparcie krajów arabskich dla walki partyzantów palestyńskich oraz zwołanie na 20-22 grudnia do stolicy Maroka — Rabatu nowego szczytu. Będzie to piąte spotkanie najwyższych przedstawicieli krajów arabskich od czasu agresji izraelskiej. Sądząc z przebiegu posiedzenia Rady Obrony — konferencja w Rabacie poświęcona będzie trzem zagadnieniom: skupieniu potencjału politycznego, ekonomicznego i wojskowego krajów arabskich w celu wyzwolenia spod okupacji ich ziem, umocnieniu palestyńskiego ruchu oporu oraz pomocy dla Palestyńczyków, mieszkających na zagarniętych przez Izrael obszarach.

Komentatorzy zachodni piszą, iż decyzja zwołania szczytu otwiera nową karierę. Ich zdaniem — wobec niepowodzeń pokojowych rozstrzygnięć konfliktu bliskowschodniego — świat arabski uszytuje swe stanowisko i podkreśla, że dalsze z jego strony koncesje nie są możliwe.

Część komentatorów przypuszcza, iż decyzje Rady Obrony związane są z planem rozwiązania bliskowschodniego problemu o którym na tym miejscu pisaliśmy przed tygodniem. Obserwatorzy kairsy podkreślają równocześnie, że drzwi do pokojowego rozwiązania konfliktu pozostają nadal otwarte.

W ostatnich dniach INDIE znalazły się na najostrzejszym ze wszystkich zakrętów, jakie wystąpiły w okresie niepodległości tego kraju. Mam tu na myśli szczytowy punkt konfliktu w Partii Kongresowej, konfliktu narastającego szybko od czterech miesięcy, a toczącego się między konserwatywnym ugrupowaniem Nijalingappu, a postępowym skrzydłem Indiry Gandhi. To ostatnie, przed czterema miesiącami rzuciło hasło radykalnych reform społeczno-gospodarczych. „Starzy przycódcy” wystąpili wtedy otwarcie przeciwko Gandhi.

Etapami walki między obu skrzydłami były: wybory prezydenta, w których wbrew prawicy Indira Gandhi poparta Giriego, odebranie teki ministra finansów zwolennikowi Nijalingappu oraz usunięcie z komitetu partii dwóch czołowych zwolenników Gandhi.

Niepowodzenia, jakie w ciągu ostatnich dni spotkały prawicę, pchnęły ją do kolejnego kroku — „wykluczenia” przez 11-osobowy komitet roboczy Indiry Gandhi z Partii Kongresowej. Komitet ten wezwał jednocześnie posłów tej partii do wyboru nowego przewodniczącego w parlamencie. Ale i tym razem Indira Gandhi odniosła zwycięstwo — 330 spośród 430 deputowanych z ramienia Partii Kongresowej udzieliło jej absolutnego poparcia. Nie jest to jednak koniec zmagania, ponieważ właśnie zbiera się w Delhi parlament, a sprawa konfliktu znajdzie się na porządku dziennym sesji.

Następstwem ostatnich wydarzeń będzie definitywne rozpadnięcie się partii na dwa człony. To z kolei będzie z pewnością miało poważne implikacje polityczne. W przyszłych wyborach parlamentarnych Indira Gandhi może być zmuszona do utworzenia koalicji z partiami stojącymi na lewo od jej ugrupowania.

W. SŁAWSKI

ŁODZIANIE 1969

Przed rokiem ogłosiliśmy po raz pierwszy na łamach „Odgłosów” konkurs-plebiscyt pod nazwą „Łodzianie 1968”. Nasi stali czytelnicy pamiętają zapewne tę akcję, która przez wiele tygodni skupiała na sobie uwagę mieszkańców Łodzi, czego skromnym potwierdzeniem mogą być choćby sterty listów, jakie napłynęły do redakcji. Chodziło nam przecież o spopularyzowanie ludzi, którzy swoją codzienną pracą i postawą społeczną kształtują oblicze naszego miasta.

Przed rokiem wytypowaliśmy do plebiscytu dzie sięć najciekawszych, wedle naszego rozeznania, sylwetek łodzian. Była to, rzecz jasna, reprezentacja niepełna, bo dokonywaliśmy wyboru tylko siłami redakcji, ale mimo to udało nam się zaprezentować takie wzorce postaw, że konkurs — plebiscyt zakończył się pełnym sukcesem. W wyniku głosowania najpopularniejszymi ludźmi łódzkiego roku 1968 zostali uznani: dr Halina Krysińska, ofiarny lekarz-pediatra, Stefan Just, artysta-malarz, wielki entuzjasta folkloru Ziemi Łódzkiej oraz Henryk Debiech, kierownik artystyczny orkiestry rozrywkowej Polskiego Radia i Telewizji.

Chcemy teraz, aby plebiscyt czytelniczy na Łodzianina Roku stał się trwałą tradycją naszego miasta i naszego tygodnika. Myślimy o nadaniu mu takiej rangi, aby udział w głosowaniu stał się do słownie sprawą każdego, kto chociaż trochę lubi i ceni Łódź. W podwójnym, świątecznym numerze „Odgłosów” opublikujemy sylwetki ludzi, spośród których wybrani zostaną trzej „Łodzianie 1969”. Dlatego już teraz zwracamy się do wszystkich naszych czytelników z prośbą o pomoc w zestawieniu listy kandydatów, którzy pretendować będą do tego tytułu. Rozejrzyjcie się uważnie wokół siebie, napiszcie do nas, podpowiedźcie nam nazwiska ludzi, których nie powinno zabraknąć na plebiscytowej liście. Powierzamy Wam tę sprawę w przeświadczeniu, że tym razem reprezentacja łodzian będzie pełniejsza niż przed rokiem, kandydatury dobrane jeszcze staranniej, a zasięg plebiscytu rozszerzy się także na tych czytelników, którzy poprzednio nie czuli potrzeby oddania swojego głosu.

Pośród uczestników rozlosujemy kilkanaście nagród książkowych.

Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

„WIETNAMIZACJA”

Nawet przedstawiciele amerykańskich kół wojskowych nie wierzą, że marionetkowa południowowietnamska armia będzie zdolna do prowadzenia wojny z siłami wyzwoleńczymi Południowego Wietnamu.

„TIME” — NOWY JORK

— „Pragnę wam przypomnieć, panie i panowie, iż są to tylko wstępne rokowania, i że nie możemy już powrócić do stołu sztabowego, jeśli się okaże, iż popełniliśmy błąd”...

Takie słowa padły na niedawnej konferencji prasowej w Białym Domu. Wypowiedział je człowiek, piastujący wysoką funkcję państwową. Była mowa o „wietnamizacji”, o tym, żeby brzmienie wojny złożyć na barki samych Wietnamczyków.

„Wietnamizacja” jest sprawą pierwszorzędnej wagi. Prezydent Nixon oświadczył, iż z Południowego Wietnamu wycofa się dalszych 35 tysięcy żołnierzy amerykańskich. Ale jeśli się okaże, że południowowietnamscy nie są zdolni do odegrania wyznaczonej im roli, Stany Zjednoczone będą musiały dokonać wyboru: albo wstrzyść wycofywanie wojsk amerykańskich, albo pozostawić armii sajgońskiej i sajgoński reżim własnemu losowi, co oznaczałoby ich całkowitą klęskę. Wedle zgodnej opinii obserwatorów, „wietnamizacja” jest czymś bardzo iluzorycznym. Stawiają oni pytanie: w jaki sposób wojska południowowietnamskie, po tylu latach wojny, uporają się z tym problemem, jeśli nie udało się go rozwiązać półmilionowej armii amerykańskiej?

Oficjalnie osobistość amerykańskie odpowiadają, iż koniec końców, Wietnamczycy prowadzą wojnę we własnym kraju, iż będą mogli liczyć na poparcie Amerykanów i że świadomość, iż powinni wreszcie stanąć na własnych nogach, doda im, być może, otuchy do walki.

Liczebność sił zbrojnych Południowego Wietnamu jest imponująca. Armia, pomijając różne organizacje paramilitarne, liczy ponad milion ludzi. Jej uzbrojenie stale się udoskonala. Stany Zjednoczone długo się wahały, nim powzięły decyzję o dostawach nowoczesnych rodzajów broni dla armii południowowietnamskiej. Obecnie 185 operacyjnych batalionów wojsk sajgońskich posiada amerykańskie karabiny automatyczne „M-16”. Są one znacznie lepsze od przestarzałych karabinów „M-1”, nie mówiąc już o karabinach z początków wojny wietnamskiej. Niemniej, ogólnie rzecz biorąc, żołnierz południowo-

wietnamski korzysta w znacznie mniejszym stopniu, niż żołnierz amerykański, z takich rodzajów uzbrojenia, jak moździerze, artyleria, dżipy, auta ciężarowe, czołgi, transportery opancerzone, helikoptery i samoloty.

Jednak najważniejszym problemem jest bojowy duch sajgońskiej armii. Dla większości południowowietnamskich żołnierzy służba wojskowa trwa od 18-go do 40-go roku życia, jeśli, oczywiście, uda im się dożyć tego wieku. Dowodzili nimi oficerowie, którzy zdobyli swoje stopnie albo drogą łapówek, albo różnych machinacji politycznych. Żołnierze marzyli więc o powrocie do swoich domów, do wiosek. W rezultacie bili się źle, lub nie bili się wcale.

Bojowy duch sajgońskiej armii spadł do zera w roku 1965. W owym czasie traciła ona każdego tygodnia prawie batalion żołnierzy. Przechodzili oni na stronę komunistów. Poczynając od roku 1965, aż do roku ubiegłego, większa część sajgońskiej armii ubezpieczała przede wszystkim tyły, a główny ciężar działań wojennych spoczywał na Amerykanach. „Myśleliśmy — powiedział pewien amerykański generał — że wykonamy zadanie lepiej i szybciej...” W ubiegłym roku straty południowowietnamskie wyniosły 17 466 ludzi, a amerykańskie 14 592 ludzi. W miarę, jak rosły do stawy amerykańskiego sprzętu wojennego dla wojsk południowowietnamskich, zwiększał się duch bojowy i efektywność sajgońskich oddziałów. Mimo to nie są one jeszcze równoważycielnym partnerem dla przeciwnika. Najprawdopodobniej, decydująca próba sił nastąpi w trzech rejonach działań wojennych, z których już wycofano bojowe oddziały armii USA, bądź z których zostaną one wycofane w najbliżej czasie.

Należy przypuszczać, iż pierwsza próba sił nastąpi w najbardziej zaludnionej strefie Południowego Wietnamu, a ściślej mówiąc, w bogatej w uprawę ryżu delcie Mekongu. I września br. IX dywizja piechoty USA przekazała swoją bazę w Dong-Tam oddziałom wojskowym Południowego Wietnamu. Działając w tym rejonie przeszło dwa lata, IX dywizja zniszczyła w nim,

niemal zupełnie, główne siły przeciwnika. Teraz, za pomysłowość dalszych operacji wojennych w tym rejonie jest odpowiedzialna VII dywizja sajgońska.

Poważne zaniepokojenie budzi sytuacja na północy, wzdłuż 17 równoleżnika. Do 15 grudnia br. zostanie stamtąd wycofanych 18 i pół tysiąca żołnierzy III dywizji piechoty morskiej USA. Ich miejsce zajmie I dywizja armii sajgońskiej. Składa się ona z 6 pułków, tj. liczy dwa razy więcej żołnierzy, niż inne dywizje sajgońskie. Niemniej i owych 6 pułków może się okazać niewystarczającą dla zabezpieczenia frontu długości 37 mil.

Wokół Sajgonu rozmieszczono trzy dywizje, które mają reputację nieprzydatnych do walki i najgorszych ze wszystkich dywizji południowowietnamskich. Jedną z nich amerykański generał określił jako „nic nie warta zgraję”. Stany Zjednoczone realizują tzw. program „Dong Tieu”, polegający na ściślejszej współpracy obu armii. Zgodnie z jego założeniami, niektóre oddziały US ARMY

pracowały, jady, walczyły i nawet nieraz umierały wespół z żołnierzami wojsk sajgońskich. Na razie ta akcja nie dała rezultatów skłaniających do optymizmu. Jednakże pod skrzydłami Amerykanów oddziały sajgońskie nabywają umiejętności korzystania ze wsparcia artylerii i lotnictwa, czego nie umiały przedtem.

Są więc i jakieś osiągnięcia. Ale sprawa operatywności armii sajgońskiej i jej możliwości stanięcia na nogi o własnych siłach budzi poważne wątpliwości. Pewien Wietnamczyk, który służył w wojsku cztery lata, a teraz prowadzi kancelarię adwokacką w Sajgonie, stwierdził posepnie:

„Oni nie wytrzymają, jeżeli nie będą mieli za sobą Amerykanów. Jeszcze zobaczą, jak całe oddziały będą dezerterować, albo przechodzić na stronę komunistów...”

Zacząwszy wszystko będzie zależało od tego, ile wojsk USA będzie można pozostawić w Wietnamie Południowym, i na jak długo.

„ZIELONY SMOK”

„SUNDAY TIMES” — JOHANNESBURG

Wiele przejawów życia w Republice Południowoafrykańskiej coraz bardziej upodabnia się do Stanów Zjednoczonych. Nie tak dawno potwierdził to nowy fakt: za przykładem USA, ożywioną działalność rozwinął w RPA Ku-Klux-Klan.

Generalny pełnomocnik tej terrorystycznej, rasistowskiej organizacji w Republice Południowoafrykańskiej Ray Rudeman, piastujący funkcję, w nomenklaturze KKK, „Zielonego Smoka”, oświadczył niedawno, iż „jego chłopcy” organizują ją na terenie całego kraju tajne oddziały Ku-Klux-Klanu. Rudeman, posiadający farmę w miejscowości Hualik (w prowincji Natal), poświęca tej sprawie każdą godzinę wolną od pracy.

— „Jesteśmy w trakcie realizacji naszych poczynań — powiedział. Do naszych szeregów wstępują liczni pracownicy państwowi. Nie zamierzamy organizować żadnych wystąpień niezgodnych z prawem. Nie odbywają się jeszcze ani zebrań masowych, ani zbiórek członków organizacji. Na razie jesteśmy zaabsorbowani doбором odpowiednich ludzi”...

Podczas rytualnych uroczystości przyjmowania nowych członków w poczet Ku-Klux-Klanu, które za-

zwyczaj odbywają się poza murem w domach prywatnych, uczestnicy takich zebrań nakładają białe piaski i kaptury — tradycyjny strój kukluxklanowskich bojówek w USA.

— „U nas, w południowej Afryce, nie zapalamy krzyży — wyjaśnia Rudeman — bo tutejsza ludność jest głupia. Wielu myśli, że jesteśmy bluźniercami. A przecież to zupełna bzdura. Zgodnie z naszą długoletnią tradycją, zapalamy krzyże, żeby jaskrawym blaskiem ognia czcić symbol wiary chrześcijańskiej i aby ludzie mogli to widzieć nawet z daleka.

„Zielony Smok” i „Jego chłopcy”, wespół z przyjacielami ze „Związku anglo-nordyckiego” oraz „Narodu Burów” (organizacje rasistowskie — red.), zamierzają przeforsować w wyborach do władz urzędowych RPA, które odbędą się jeszcze w tym roku, ekstremistę Rasa Bayersa.

W jednym z numerów pisma „National Socialist”, będącego organem ogólnostanowiska ruchu narodowo-socjalistycznego, ukazał się artykuł, sławiący farmę Rudemana w Hualik, która jest „swego rodzaju sztabem ruchu narodowo-socjalistycznego w południowej Afryce”.

W DRODZE PO BELFERSKIE OSTROGI

Dalszy ciąg ze str. 1

ne osiągnięcia myśli są często odkrywaniem czegoś, co już dawno odkryte zostało, jak często i w pedagogice różne krzykliwe otrębywane nowinki okazywały się w konfrontacji z życiem lichymi, tandetnymi świecidełkami.

Dyrektor Dura potrafił najpoważniej w świecie referować jakieś zagadnienie, by pod koniec lekkim uśmiechem czy subtelną drwinką podważyć dogmatyczną nienaruszalność tylko co omawianej teorii. Myśmy w tym widzieli jakiś w istocie rzeczy poważny stosunek do nas, jego słuchaczy, których w ten sposób namawiał do własnego, krytycznego ustosunkowania się do wszelkich teorii i haseł. Interesujące były również wykłady psychologii pana P., który mówił cicho, jakby stale z jakimś namysłem. Ilustrował zagadnienia przykładami z życia, czasem sięgał do swoich legionowo-frontowych wspomnień. Lubiliśmy również wykłady z metodyki języka polskiego i historii pana O. i matematyki pana B.

Na hospicjum lekcji w szkole ćwiczeń nie uczęszczałem, odbywały się one bowiem w czasie mojej pracy w sądzie. Raz tylko, kiedy zaprosił nasz Kurs do swojej szkoły pan P., który był kierownikiem eksperymentalnej Szkoły Pracy, wziąłem udział w wycieczce. Ta niezmiernie ciekawa placówka, jedna z nielicznych tego typu w Polsce, a jedyna w Łodzi, mieściła się w zwyczajnej czynszowej oficynie w środku miasta, przy ulicy Piotrkowskiej 115. Uderzył nas fakt, jak w tak trudnych warunkach można było przez całe grono nauczycielskie konsekwentnie wcielać w życie nowoczesną myśl pedagogiczną: oryginalną, polską odmianę koncepcji teoretycznych Dewey'a i Kerschensteina.

W czerwcu 1929 roku przystąpiliśmy do egzaminu państwowego dla eksternów. Obejmował on te przedmioty z seminarium nauczycielskiego, których nie mieliśmy w gimnazjum. Egzamin teoretyczny przeszedł mi jak z płatka, tym bardziej, że trafiła mi się do referowania pedagogika okresu renesansu, a ja u Lorenza pod koniec klasy siódmej miałem referat na temat: „Humanizm włoski w rozkwicie”, więc epokę tę znałem w ogóle dość dobrze. Z psychologii poszło też niezłe. Nieco gorzej z zajęć praktycznych. Moje uzdolnienia techniczne równają się matematycznym. Całe szczęście, że jako temat miałem „pudełko z tektury”, taka jakaś bombonierka, no i że... zdawaliśmy razem w pracowni Państwowego Niemieckiego Seminarium Nauczycielskiego. Razem — to znaczy nasze koleżanki również. I one to właśnie wybawiły mnie z tarapatów, wykonując moją egzaminacyjną bombonierkę.

Trochę byłem spietrany przed lekcją, którą miałem przeprowadzić, jako sprządkę w dziedzinie zawodowych.

Temat lekcji: wprowadzenie pojęcia „pół” i „czwierać” na lekcji matematyki w klasie drugiej.

Nigdy lekcji nie prowadziłem, ani nie hospitowałem. O tym, jak powinien wyglądać konspekt takiej lekcji, też nie miałem zielonego pojęcia. Całe szczęście, że przyszedł mi tu w sukurs nasz metodyk, pan B., który podsunął mi myśl, bym urządził dzieciom „zabawę w sklep” z „kupowaniem” pół i ćwierci kilo różnych „artykułów”. Być może i tak bym na lekcji zbaraniał — jedyny aktor i reżyser spektaklu mający w sobie wlepione czterdzieści par oczu dziecięcych i kilka — komisji egzaminacyjnej — gdyby

nie to, że w przeddzień pozwolił mi te sztukę „odegrać” w swojej szkole znajomy kierownik szkoły z Chojen pan B. Po tej próbie generalnej nazajutrz premiera przeszła szczęśliwie.

Egzamin zdałem, otrzymałem „Seminariálne świadectwo dojrzałości” uprawniające do pracy w szkolnictwie powszechnym. Ba! ale teraz, gdzie znaleźć te prace?

Bo chciałem jednak uczyć w Łodzi, kusila mnie poza wszystkim perspektywą podjęcia studiów na Wolnej Wszechnicy.

A tymczasem już nadeszło bezrobocie i początek straszliwego w skutkach kryzysu.

Udałem się do naszego profesora psychologii pana P., który właśnie został naczelnikiem wydziału szkół powszechnych w Kuratorium Łódzkim.

Pan P. przyjął mnie życzliwie, choć z przyrodzonym brakiem entuzjazmu:

— Trudno będzie. Inspektorat Łódzki reflektuje tylko na specjalistów, no a pan przecież...

— Rzeczywiście, specjalistą żadnym...

— Hm. No, a może pan uprawia sport? Zna się pan na wuefie? (Kiedyś, w klasie czwartej kopano się szmaciankę w klasowym klubie „Korona” na mecze chodzącym dość regularnie, ale specjalności to chyba jeszcze nie daje?).

— Raczej, panie naczelniku, nie.

— No, a może zajęcia praktyczne? Wie pan: intronigatorka, szycie, trochę stolar-

ki? (Mrowie mnie przeszło. Przypomniało mi się, jak to w gimnazjum w nagrodę za czwórkę z fizyki profesor pozwolił mi przyjść po południu na kółko do pracowni. Wypadło mi piłka przecinać deskę. Deski nie zdążyłem przeciąć, ale za to podbiłem sobie oko i więcej moja stopa w pracowni nie powstała. No i ten ostatni egzamin).

— Nie, panie naczelniku. Też nie. To ja już sobie pójdę?

— Zaraz, chwileczkę. No, to może śpiew? Co?

(Śpiew? Kto wie? Może... Głos mam niezły, słuch również. Śpiewało się w gimnazjum w chórze w drugim tenorze kilka lat. Z ćwiczeniami słuchowymi i głosowymi dawałem sobie niezłe rade. Z dyktandami muzycznymi również. Nawet uczyłem się kiedyś dzieckiem na Chojnach u skrzypka-amatora. Ba, przecież nawet pitiłem w orkiestrze u profesora K. wprawdzie tylko w „trzeciach” skrzypcach i wprawdzie podczas pierwszego występu w Teatrze Miejskim profesor doszedł do mnie i kazał szybko wyjść za kulisy, bo okazało się, że pomyliłem nuty i grałem, co innego niż wszyscy — ale zawsze...)

— No, śpiew, panie naczelniku, to może być...

— No, nareszcie! Nuty pan zna?

— Znam!

— Świetnie! A gra pan może na jakimś instrumencie?

— Trochę...

— To wystarczy!

I w górnym, lewym rogu mojego podania o pracę napisał na ukos:

„Śpiew”.

Ten „Śpiew” podkreślił i podpisał się.

Podanie moje skierował do inspektora szkolnego na miasto Łódź. Tutaj po kilku dniach dowiedziałem się, że zostałem przydzielony do jednej ze szkół bałuckich, gdzie brak było właśnie nauczyciela śpiewu.

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI



JERZY WILMAŃSKI

Wdzięczność i kwiaty

Tego dnia jesiennymi ulicami pójda dzieci — zakwitną ulice pękami złotych chryzantem i czerwonych goździków... Tego dnia na wruszającą nieporadnie narysowanych laurkach znajdą się słowa „dla naszej Pani”, „dla naszego Pana”.

Proste, dziecięce życzenia w dniu Święta Nauczyciela, będą tą najdroższą, najmiłszą zapłatą za trud, którego ciężaru nie rozumieją jeszcze ci najmniejsi, którego ciężaru nie zawsze potrafią docenić dorośli.

Dopiero czasem, po latach przychodzi ta piękna refleksja — czuła pamięć przywodzi obraz człowieka, rysującego na czarnej tablicy pierwsze litery alfabetu — A, B, C... I wtedy po latach cisną się pod pióro słowa holdu, słowa godne tego pięknego i trudnego zawodu. I takie słowa są ważne, one wykreślają miarę znaczenia.

„Jest to doprawdy — pisał Leon Kruczkowski — szczególnym przywilejem nauczycieli, że pamiętamy ich na zawsze i jako szczególnie mocno, mocniej niż o brzozy własnych rodziców z okresu naszego dzieciństwa. Rodziców znamy o wiele dłużej, często aż do lat dojrzałych, obserwowujemy zachodzące w nich powoli zmiany, jakże trudno w rysach ich starości odnaleźć dalekie uśmiechy utraconego czasu! Nauczyciela, który nas uczył alfabetu, możemy już później nigdy nie spotkać — a mimo to jego twarz, jego gesty, jego głos nawet trwają w nas — nie zmienne — przez dziesiątki lat.

Jako pisarz głęboko pochylałem głowę przed cieniem człowieka, który uczył mnie prowadzić pióro w ręce. On mnie nie tylko nauczył najprostszego sztuki pisania; jakieś cząsteczki jego trudu były iskierkami, od których zapalały się dusze. Sporo lat przeżyłem, zanim stałem się pisarzem, ale iskra zatliła się tam, w drewnianych ścianach baraku, w starej krakowskiej szkole na Placu Biskupim...”

Te iskry rozniecają codziennie w murach pięknych Tysiąclatek i w stareńkich, ciasnych szkołach ludzie, którzy dewizą uczynili sobie powiedzenie: „pięknie jest oglądać smukły wieżowiec czy wspaniałą marmurową pomnik — ale najpiękniej jest widzieć dobrze wychowanego człowieka”.

Więc całym nieraz życiem, na przekór przeciwnościom, realizują to trudne lecz jakże zaszczytne zadanie — kształtują człowieka. Dają mu wiedzę, uczą go kochać ten szmat ziemi między Bugiem i Odram, wskazują co dobre, co złe...

Przynajmniej raz w roku ogarnijmy ten trud nauczycielski, powiedzmy o nim głośno i nie bójmy się patosu. Godzien jest tego — bo przecież z owego trudu my wszyscy... Ci którzy budują domy i ci którzy budują mosty. Ci którzy tworzą prawa i ci którzy tworzą idee. Ci którzy malują obrazy i ci którzy piszą książki...

W tym świętym dniu nie zabraknie też kwiatów dla tych, którzy ich już przyjąć nie mogą, którzy odeszli w mrok, nie staną już przy czarnej tablicy, nie otworzą więcej klasowego dziennika... Jest w Łodzi tablica — tragiczna pamiątka czasów pogardy — marmurowy hold dla tych nauczycieli, którzy życie oddali za ten właśnie wieloletni trud, za kształtowanie serc i umysłów Polaków. Pod tą tablicą pamięci w dniu Święta Nauczyciela także zakwitną kwiaty — czerwone jak krew goździki i złote jak słońce chryzantemy.

W tym świętym dniu, kiedy jesień zaciągnęła niebo ołowianymi chmurami przypominam tamto dawne lato — granicę wzdłuż łąki: te siwa kobiecie o suchej, orlej twarzy. Mądre oczy wiejskiej nauczycielki uśmiechały się kiedy mówiła: „Jestem jak nędzarz trzymający w rękach perłę”.

Wróciła tu po latach studiów, po wędrówkach po świecie — wróciła tu po to, żeby była szkoła, światło, droga... I dziś jest tu i szkoła i droga i światło i przedszkole i ośrodek zdrowia. A siwa wiejska nauczycielka uczy dzieci w białej Tysiąclacie i mówi o perle trzymanej w dłoni. Co jest tą perłą?

Miłość tej ziemi? Trud dziesiątków lat, które nie poszły na marne? A może pamięć tych wiejskich dzieci, które rozbiegły się po świecie? A może świadomość potężnej siły kształtowania ludzkich umysłów — siły tkwiącej w nauczycielskim trudzie?

„Gdy ręce kreślą litery na tablicy robi się bielej i jaśniej w puszcząskiej okolicy”.

— napisał Jan Bolesław Ożóg.

Te dłonie w których zamknięto ową magiczną perłę, te dłonie otwierające książki i kreślące kredowe znaki godne są najpiękniejszych kwiatów.

Jesiennymi ulicami pójda dzieci i młodzież — zakwitnie miasto pękami złotych chryzantem i czerwonych goździków. A jeśli zabraknie kwiatów, niech nie zabraknie słów — tych najpiękniejszych i najszczęśliwszych — prostych słów wdzięczności i podziękia za wciąż niedoceniany nauczycielski trud.

Listy DO REDAKCJI

SZANOWNY, PANIE REDAKTORZE!

Bardzo ucieszyłem się, że w nr 44 „Odgłosów” Redakcja zamieściła aż dwie notatki dotyczące się bliskich mi (prywatnie) spraw... płyt gramofonowych. W notatce pierwszej umieszczonej w dziale „Polonica” poinformowano nas o ukazaniu się na rynku... szwajcarskim płyty z „polskim” utworu mi sławnego kompozytora

niemieckiego Georga Philippa Telemanna. Rozumiem, że informacja ta interesująca, ale proponowałbym uzupełnić ją skromną wzmianką, że na naszym rynku istnieje znana komita pod każdym względem płyta, na której Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej pod dyrekcją Karola Teutscha na grała dwa „Koncerty Polskie” i dwie „Sonaty Polskie” tego właśnie kompozytora. Jej numer jest następujący: XL 0476, a płyta jest godna polecenia tak ze względu na walory artystyczne, jak i — co zdarza się u nas coraz częściej — techniczne. Osobiście mam doskonały egzemplarz stereo. Warto by też może dodać, że te matyką polską w twórczości Telemanna zajmowała się w pierwszej ćwierci naszego stulecia polska badaczka Alicja Si-

mon, która była po wojnie profesorem Uniwersytetu Łódzkiego. Tyle o pierwszej odgłosowej informacji. Druga znajduje się w dziale „Kto, co, kiedy” i dotyczy wydania płytowego dzieła Ludwika van Beethovena dla uczczenia Roku Beethovena, podjęte go przez zachodniemiecką firmę płytową Deutsche Grammophon Gesellschaft. Może warto by przy okazji dodać, że analogiczne przedsięwzięcie realizuje też bliższa nam nie tylko geograficznie firma płytowa NRD „Eterna” i że już kilka — niewiele wprawdzie — płyt z serii jubileuszowej się ukazało, jedna zaś ma nawet ponoc trafić do niektórych łódzkich sklepów.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

ANTONI BIEGAS

O Ingardenie snach cybertyce i księżycu

Dalszy ciąg ze str. 1

słów w tytule. Cudzysłów zawsze oznacza stosunek do problemu, do postaci przedstawianej. Mea culpa.

(PAŹDZIERNIK 69 R.)

Przelotne spotkanie z Olgierdem: musimy porozmawiać My tu w naszym „koł chozie literackim” nieraz, spotykając się w bramie lub na schodach, obiecujemy sobie „porozmawiać”. Przeważnie nie dochodzi do tego. Ktoś z tego powodu ubolewał: całkowita dezintegracja środowiska, jałowa pustynia, nic się nie dzieje, nie ma z kim słowa zamienić. Przyczyny, owszem, leżą w środowisku, ale w warunkach egzystencji, każdy zabiegany, i — w nas samych. Może nie mamy sobie nawzajem nic do powiedzenia. Może nie chcemy właśnie ze sobą rozmawiać. Może nie umiemy żyć z ludźmi. Może nie czujemy potrzeby współzycia. Może płodniejsze i przyjemniejsze wydają się nam spotkania z ludźmi spoza naszego środowiska. Może zbyt głęboko tkwią w nas ciernie po próbach „współzycia”. Może, może, może. Któż w końcu powiedział, że ludzie, mieszkający w jednym bloku, muszą ze sobą współżyć. Zresztą ci i owi przyjaźnią się ze sobą. Przyjaźnią lub utrzymują bliższe kontakty. To różni ca. Wspólne sprawy, wspólne interesy. Wspólne hobby. Czasem nawet wspólne upodobania. Wiele ludzkich związków to gra interesów, którymi się nieraz samooszukujemy; nieraz, dopóki coś znaczy my, to jest mamy coś dać wymianą za to, co bierzemy, mamy „przyjaciół”. Kiedy się znaczenie straci, okazuje się, że wokół nas — pustka, jak miotłą wymiotł. (Stwierdzenie zresztą truistyczne). Ale to znaczy, że źle wybieramy przyjaciół. Ci, którzy pozostają w naszych sytuacjach opuszczenia, to dopiero przyjaciele. Choć nie bądźmy sentymentalni: może pozostali nam jeszcze na wymianie „dobra wewnętrzne”. Choć nie bądźmy naiwni: może ktoś swoją samotność „ogrzewa” przy naszej samotności? Może przed nami rozlazał swój „pawł ogon”, którego nie ma już kto podziwiać?

(PAŹDZIERNIK 69 R.)

Gdybym mogła, tak jak nie mogę, pod skakiwać, podskoczyłabym z ubawienia: ktoś zreferował mi „zdanie” pewnego, jak



Fot. J. Książek

WŁODZIMIERZ MENTCEL — „...A życie toczy się dalej”

powiada, utalentowanego, Inteligentnego fizyka, czy chemika o moim „Nieśmiertelnym”. Ze autorka (to niby ja) wierzy w sny, duchy, dosłowne obcowanie żywych z umarłymi, mimo, że to były heterogenne, że sny to przecież procesy w sieciach neuronowych, i w ogóle... cybertyka, wiek XX.

I znowu przywołuj staruszka Ingardena, tego „Ptolomeusza literatury”, jak go nazywa kto?, właśnie Lem w swojej „Filozofii przypadku”. Bo inteligentny przyrodnik pomylił autora czyli „byt autonomiczny” istniejący w świecie realnym z „bytem intencjonalnym” istniejącym w świecie przedstawianym: mnie z powieściową postacią, Marią.

Z wydrukowanego fragmentu nie da się nic wywieść ponad konstatację stanu psychicznego Marii. Może śmierć ojca spowodowała w niej tak głęboki uraz, że jej życie psychiczne, czyli krążenie informacji uległo zakłóceniu, w efekcie czego nastąpił w niej konflikt wyższego piętra (jak cybertyka to cybertyka) na przykład zderzenie postawy naukowej z religijną i Marii wydaje się, że potrafi wskrzesić ojca? Jak? A przy pomocy objawienia. Duch święty zesłał na nią Łaskę i Maria posiedzie sztukę układania atomów w strukturę rozłożonego ciała ojca (mimo heisenbergowskiej teorii niemożliwości dokładnego umiejscowienia ich), wynajdzie „maszynę”, w którą włoży ten wzór strukturalny tatusia i z drugiej strony maszyny wyskoczy jej Drogi Zmarły, zdrow jak rybka, z tymi samymi wadami i zaletami, jakie miał za życia, a więc ze skłonnością do wypitki i do gderania na „złą robotę” w rzeczywistości naszej jak i burżuazyjnej, jako w niebie tak i na ziemi.

Dość żartów. Nie używa się do „badań literackich” noża (tym się nawet ryby nie je). Można dojść do przerażających uproszczeń. (A swoją drogą: nie drukować fragmentów bez zaznaczenia tego. Część podana za całość takie sądy niektórych prowokuje).

(LISTOPAD 69 R.)

Prawo serii. Właśnie z tymi snami. Dziś odwiedziła mnie Julia. Wzięła z Danił. Pod koniec wizyty: „Znowu mi się śni, że jestem ptakiem szamoczącym się ze związanymi skrzydłami, albo wilkiem wyjącym do księżycy”.

Znam konfliktową sytuację Julii. Przy takiej okazji zawsze pcha się natrętnie freudowska teoria Libido, tłumionych popędów i panerotyzmu świadomości. Powiadam: na dobrą sprawę każdy inteligentny człowiek potrafi sam sobie zrobić psycho-analityczny streap-tease, w snach często przychodzi do głosu nie rozwiązane, albo nie domyślane do końca problemy życiowe, zepchnięte nieraz w podświadomość. Bywają jednak sny dziwaczne, niezrozumiałe. G.G. Jung ostrzegł przed próbami amatorskiej analizy takich snów. Aby interpretować symbolikę marzeń sennych, to, co w nas jest z myślenia pierwotnego, prelogiczne go, nie wystarczy być nawet tylko psychologiem i psychoanalitykiem; trzeba być znawcą różnorodnych kultur z przynależnymi im mitami, kultami, epi- i hierofaniami.

Księżyc. Mircea Eliade w „Traktacie o historii religii” mówi, że od czasu neolitu jedna i ta sama symbolika obejmuje księżyc, wody, deszcz, płodność kobiet i zwierząt, pośmiertny los człowieka. W niektórych wierzeniach księżyc był „panem kobiet”; występował też w postaci węży; pewne mity podkreślają lunarny charakter tego zwierzęcia. W innych legendach księżyc jest „owocem, który rodzi sam siebie”; jest miejscem, gdzie przebywają dusze zmarłych. Księżyc to przede wszystkim symbol rytmicznej przemiany i urodzaju: jego istnienie wiąże się z porami deszczowymi, przypliwami i odpływami wód, wzrostem roślinności; księżycowe są cykliczne okresy kobiet. Sposób bycia księżycy objawia człowiekowi jego dramatyczny los: narodziny, stawanie się, fragmentaryczną egzystencję, zanikanie i śmierć. I odradzanie się przez metamorfozę.

Eliade, rozszyfrowując hierofanie lunarne, kosmo- i biologiczną metafizykę lunarną, zwraca uwagę na pewne mity reintegracji symbolu księżycy (tego co cząstkowe i fragmentaryczne) i symbolu słońca (tego co stałe i niezmiennie), mity wyrażające tęsknoty człowieka, powstałe jeszcze na jego archaicznym szczeblu, do przekroczenia tego dualizmu. „Człowiek, skoro tylko uświadomił sobie swoją pozycję w kosmosie, pragnął, marzył i usiłował konkretnie — przez religię i magię — urzeczywistnić stadium przekroczenia ludzkiej doli, którą tak dokładnie odzwierciedla sposób bycia księżycy”.

Julia siedzi zamyślona; wiem o czym myśli: szuka w sobie znaczenia wilka wyjącego do księżycy, znaczenia ptaka

wzlatującego ku niebu w szamotaniu skrzydeł.

Rozbrajam smutek Julii tym czynnikiem: „Co, sny? Przecież to tylko procesy zachodzące w sieciach neuronowych”.

Julia uśmiecha się: „I zdaje się komuś, że posiadanie naukowej definicji jakiegokolwiek procesu „załatwia” i „kanalizuje” wszystkie treści aktu psychicznego. Smutek to też przecież efekt powiadomienia mózgu o jego własnym stanie dzięki systemowi sprzężeń zwrotnych. Sztuka to również „tylko” wynik procesów wyższych układów nerwowych, przetransponowany na działanie. Dzieło to „tylko” układ bodźców.

A ptaki w naszych snach się szamoczą, wilki wyją. Stwory łagodne: sentymentalne i metafizyczne. I straszne stwory drapieżne. Straszne także na jawie. Zwierzczekokupioły — według Konwickiego.

Marzenia senna i sny na jawie mają po części charakter komplementarny lub kompensacyjny. Niektórym ich „sny o potęgę” spełniają się w rzeczywistości. Wtedy Pan X, powiedzmy że na skutek „dryfowania świadomości w strumieniu procesów, nad którymi nie może zaprowadzić dokonuje swoistego wyboru; decyduje: „spalić tę czarownicę” lub „przeznaczyć tego gościa na odstrzał”. „Skazani” zaś: a może przypływać żabki Pana X? Zaś Pan Z. patrzy na to widowsko i uśmiecha się. Wesołe życie staruszków! „Sny” psychopaty o zdobyciu władzy i podboju Europy, poparte „snami” innych zbrodniczych „atomów społecznych” doprowadziły miliony ludzi do komór gaźniowych. Księżyc dawno przestał być bóstwem nawet romantycznych kochanków, mitycznym miejscem, gdzie odpoczywają dusze zmarłych. Maluczko, a stanie się — jeśli ludzki rozsądek nie zwycięży — bazą śmiercionośnych laundoków. Nowe bóstwo, Człowiek, zmierza do potwierdzenia fragmentarycznego istnienia nie tylko ludzi, ale być może planety Ziemi.

Czy rozumne myślenie może temu zapobiec? Autor „Zmierzchu psychoanalizy”, Harry K. Wells, amerykański marksista, powiada, że zdolność rozumowania zależy od opanowania dwóch poziomów logiki — logiki klasyfikacji i komunikacji oraz logiki wzajemnych związków, konfliktów i zmiany. Opanowanie zaś tych dwóch logik zależy m. in. od posiadania sporej wiedzy, jaką dają różnorodne nauki: astronomia, fizyka, ekonomia, biologia, historia, polityka, antropologia, psychologia, pedagogika, sztuka i wiele, wiele innych. Tyle Wells. Ale w wielu krajach rosną zastępy naukowców, wysoko wykwalifikowanych fachowców i jakoś nie do tej pory nie wskazuje, żeby to mogło zagwarantować mieszkańcom planety Ziemi spokojne dzisiaj i jutro; świat kotłuje się od konfliktów i wojen. Wykształcenie już nie jednostronne, ale nawet czterostronne nie może też przytłumić w poszczególnych osobnikach pierwotnej natury człowieka z okresu kamienia łupanego, który to (człowiek) „argumentował” przy pomocy maczugi. Może więc gdy nie przeciwdziałano temu sztuka „rozumnego myślenia”, przydałoby się im jednak trochę „niemodnej, zmierzchającej” autoanalizy? Bo „na odstrzał” wzięto już wielu z nas w latach wojny. Okres palenia czarownic też już jest miniony. Powoli wali nas na kolana starość, maluczko a ostatecznie nas „odstrzeli” ta „Beznosa” i powierzy Wielkiej Matce, Gei. Na odpoczynek na księżyc żadna duszyczka się już nie wybierze. Za wiele tam hałasu.

WANDA KARCZEWSKA

FERDINAND NEUREITER

POLSKIE DNI w Salzburgu

Po raz pierwszy po drugiej wojnie światowej Salzburg, miasto rodzinne Mozarta i Trakla, żył w ciągu tygodnia sprawami polskimi. Polskie Dni zostały zorganizowane w dniach od 8 do 15 października br. przez Towarzystwo Austriacko-Polskie i Czytelnik Polską w Wiedniu przy współpracy z licznymi polskimi i austriackimi przedsiębiorcami pod wysokim patronatem polskiego ambasadora w Austrii, Jerzego Roszaka, wojewody Salzburga, dr Hansa Lechnera i burmistrza Salzburga, Alfreda Baeka.

Całe miasto ozdobiło plakatami Polskich Dni. Na każdym kroku spotykało się polskie wyroby. W jednym ze sklepów na Starym Rynku, w centrum miasta, wystawiono artykuły Cepelli, w innym sklepie można było nabyć przedmioty sztu-

ki z Desy. Na jednej z głównych ulic handlowych Salzburga, odwiedzanych masowo przez turystów z całego świata, stała przed jednym z wielkich sklepów dziewczyna w polskim stroju ludowym oferując przechodniom próbki polskiej wódki.

Kto chciał się przekonać o wysokiej jakości polskiej kuchni, miał okazję zjeść w dwóch wielkich restauracjach polskie potrawy: barszcz z paszтетem, bigos po polsku, zraziki cielece a la Radziwiłł, kaczkę pieczoną z jabłkami, blinki i wiele innych, które proponował gościom szef kuchni z Grand Hotelu w Sopocie, Stanisław Pająk.

W jednym z pawilonów wystawowych odbył się reprezentacyjny pokaz polskich gobelinów, własność Muzeum Historii Włókiennictwa w Łodzi. Największym uznaniem cieszyły się prace Wojciecha Sadleja, Marii Łaskiewicz i Joanny Hasior. Przy tej okazji można było się dowiedzieć, że w Polsce ponad dwustu artystów zajmuje się sztuką produkcji artystycznej gobelinów i wykazuje w tej dziedzinie — jak i w wielu innych — dużą oryginalność. W ramach tejże wystawy eksponował swe najlepsze obrazy olejne znany polski malarz, Zdzisław Pabisak, kustosz Muzeum Collegium Maius w Krakowie.

Przed zamkiem Mirabell, jedną z najpiękniejszych budowli Salzbur-

ga, można było obejrzeć wystawę pod gołym niebem ok. 60 polskich plakatów, które i tym razem wykazały wysoką wartość artystyczną tej polskiej specjalności. Setki mieszkańców Salzburga miało okazję nabycia tego lub innego eksponatu. Toteż w wielu mieszkaniach Salzburga wiszą polskie plakaty i godnie reprezentują Polskę. Obok wystawy plakatów zorganizowano jeszcze jedną atrakcję. Oto w ciągu czterech dni, dwa razy dziennie, rozstawiał swe instrumenty polski zespół jazzowy JANA BOBY i grał dla wszystkich, którzy tylko chcieli słuchać polskich melodii tanecznych. Muzycy występowali w oryginalnych strojach góralskich.

Wszędzie, gdzie tylko odbywały się polskie imprezy, rozdawano kupony na konkurs. Przeznaczono na to 100 nagród: wódki, konserwy, przedmioty rzemiosła artystycznego i płyty. Pierwszą zaś nagrodą był lot do Polski połączony z ośmiodniowym pobytem. Nic dziwnego, że udział w konkursie był liczny.

Imprezy kulturalne zapoczątkowało przyjęcie w sali balowej na

zamku Mirabell, na które ambasador Polski i burmistrz Salzburga zaprosili szereg osobistości świata politycznego, gospodarczego i kulturalnego. Burmistrz Bäck podkreślił w swym przemówieniu, że Salzburg interesuje się żywo pogłębianiem stosunków kulturalnych z Polską, zwłaszcza w dziedzinie muzyki. Na tym polu istnieją szerokie możliwości. Nie należy jednak pomijać całkowicie zagadnień gospodarczych. Aspekt ten został zaakcentowany w związku z faktem, że z okazji Polskich Dni przebywała w Salzburgu również polska delegacja gospodarza, która nawiązała kontakty z odpowiednimi instytucjami Salzburga. Po bankiecie nastąpił jeden z najważniejszych punktów programu Dni — koncert Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia z Krakowa pod batutą Krzysztofa Missony. Krytycy muzyczny dzienników salzburskich, znani tu z surowych wymagań, byli oczarowani. Zwłaszcza spotkanie z przedstawicielami polskiej muzyki nowoczesnej, Lutostawskim i Pendereckim zostało ocenione jako ważne wydarzenie.

Pytanie zawarte w tytule jest tylko pozornie prowokacyjne. Życie bowiem udzieliło odpowiedzi twierdzącej. Wątpliwości, czy rzeczy użytkowe powinny być ładne, rozwiązano już dość dawno. Każdy przedmiot codziennego użytku ma więc szansę stać się dziełem sztuki. Musi się tylko do niego zabrać artysta. W wypadku skarpetki robionej na drutach — artysta rękodzielnik, w wypadku skarpetki he-lanco — artysta przemysłowy.

Rzeczywiście, coraz więcej plastyków-projektantów pracuje w zakładach produkcyjnych. W przemyśle włókienniczym bodają 500, z tego w Łodzi 260. Inżynierowie dbają o funkcjonalność produktów, plastycy o ich stronę estetyczną. Kojarzenie urody przedmiotów z ich użytecznością nie odbywa się jednak bezkonfliktowo. Rezultaty tego konfliktu oglądamy codziennie na półkach sklepowych i na ulicach naszych miast. Skłonny byłbym twierdzić, że na razie zwycięsko wychodzą z niego inżynierowie i technicy, czemu znów nie należy się tak bardzo dziwić, jako że z prozą przemysłu związani są co najmniej od lat 200, a artyści, przynajmniej w Polsce, zaledwie od dwudziestu paru. Przed wojną łódzcy fabrykanci sprowadzali wzory tkanin i ubiorów z Niemiec, Włoch i Czechosłowacji. Artyści w tym czasie pili absynt i zachowywali się ekstrawagancko, zwłaszcza w pojęciu fabrykantów i wobec fabrykantów.

Zmieniły się czasy, zniknęli fabrykanci, zmienili się artyści, ale coś z tego uprzedzenia przecie pozostało. To znaczy pozostało w atmosferze, bo z wyjątkiem niektórych krawców, wszyscy od majstra, do ministra, deklarują w stosunku do artystów-plastyków pełną życzliwość.

Nie spotkałem dotąd człowieka, który by kwestionował udział plastyków-projektantów w produkcji na skale przemysłowej. Dopiero gdy chodzi o stopień tego udziału, o wpływ artysty na kształt i barwę produktu, zaczyna się dyskusja i wylaniają problemy.

Sytuacja plastyków-projektantów w przemyśle — mówiąc delikatnie — jest ambiwalentna. Obowiązki mają nieokreślone, praw żadnych. Wszystko zależy od indywidualnego ułożenia stosunków z dyrekcją, a szczególnie z dyrektorem. Większość skarży się, że jest zaganiana do prac dekoracyjnych, do gazetek ściennych, afiszy, transparentów. W skrajnych przypadkach podobno niektórym zabroniono nawet przeglądania żurnali, wychodząc z założenia, że szkoda na to czasu.

Tymczasem plastycy, są to ludzie z reguły młodzi, jeśli chodzi o Łódź, to przeważnie absolwenci PWSSP, rzadziej Liceum Plastycznego. Fakt, że z pracą w zakładzie przemysłowym zapoznani dość powierzchownie. Mają dyplom, który daje im tytuł do pracy, ale nie posiadają rangi i aurytetytu. Te rzeczy zdobywa się w praktyce, talentem, wysiłkiem woli, zaangażowaniem, umiejętnością obcowania z ludźmi, przystosowaniem do nowych warunków. Przychodzą ze świata, gdzie podstawowym warunkiem działania są względy natury estetycznej. Zderzają się ze światem, gdzie w cenie są przede wszystkim wartości ekonomiczne, techniczne i organizacyjne. Konfrontacja tych dwu światów jest dla nich operacją dość bolesną. Najbardziej gorzka do przelknięcia jest dyscyplina i anonimowość pracy w przemyśle. Bardziej obrotni uciekają z

przemysłu w poszukiwaniu pracy intratniejszej, bardziej utalentowani uciekają w poszukiwaniu pracy atrakcyjniejszej. Zostają ci nieliczni, którzy w stosunkowo szybkim czasie potrafiли zdobyć odpowiednią pozycję w zakładzie oraz ta reszta bez większych szans gdzie indziej, która szybko rzemieślniczeje, popada w rutynę i przemienia się z artystów w kopyistów, rezygnując z indywidualnego wzorowania. Cały wysiłek wkładają w przerysowywanie, naśladowanie i adaptację obcych wzorów. Zresztą zarzut ten można odnieść do całego polskiego wzornictwa, które pozbawione jest własnego charakteru, natchnienie czerpie przeważnie z Paryża, Rzymu i Wiednia.

KAROL BADZIAK

CZY SKARPETKA MOŻE BYĆ DZIEŁEM SZTUKI?



Fot. A. Różycki

Przecież mamy utalentowanych ludzi i możliwości, ażeby nie tylko wchłaniać cudze wzory, ale tworzyć własne, promieniować na Europę np. coraz popularniejszym, słowiańskim stylem mody. Swego czasu wybuchł wielki skandal, na olimpiadzie zimowej zdarło z grzbietów naszym narciarzom, oczywiście nie bez ich zgody, kouszki zakopiańskie. Dostało się wtedy sportowcom tegle lanie od prasy krajowej. Ale przemysł futrzarski powinien im dać medale.

ma, a dotychczas nasza administracja, tak skora w innych wypadkach do wydawania zarządzeń, tu taj milczy, jak zakłeta. Status prawny plastyków w zakładzie pracy pisany jest palcem na wodzie. W jednych zakładach pracują oni po 7, w innych po 8 godzin dziennie. Sprawa otwartą jest dzień studyjny tzw. wolny dzień w tygodniu przeznaczony na samokształcenie. Zwyczajowo większość plastyków pracuje więc 5 dni w tygodniu. Tak się utarło,

że jego kolekcja otrzymała nagrodę.

Paradoksalność sytuacji plastyka polega na tym, że ma on poważny wpływ na rozwój eksportu, w związku z tym na premię eksportową, a jest to jak wiadomo, najwyższa premia, mimo to nie partycypuje absolutnie w jej podziale.

Jednakże nie bodźce finansowe, choć i te są ważne, ale anonimowość pracy doskwiera plastykowi. Zażala mi się jedna z plastyczek,

że nawet na rysunkach wzorów, które miały być wysłane za granicę, kierownik wzorowni wymazał gumką jej nazwisko. Zniesienie anonimowości wyzwoliłoby większe aspiracje i ambicje u tych ludzi. Truizm ten jakoś nie może doczekać się spełnienia. Najboleśniej cierniem jest dla artystów dyscyplina formalna. Jest to zawód twórczy, koncepcyjny, ponadto ciężki, na nim tradycja wolnego zawodu i dlatego tak trudno pogodzić się artystom-plastykom z dyscypliną pracy, jaka panuje w przemysłowym organizmie zakładu.

Co najdziwniejsze — sprawy, które tu poruszyłem, są dość oczywiste i dla ludzi bezpośrednio zainteresowanych chyba mało odkrywczym. Postulaty artystów-plastyków zatrudnionych w przemyśle nie są wygórowane, niemniej nie mogą się doczekać realizacji. Prze glądałem stenogram dyskusji, jaka odbyła się wiosną tego roku między profesorami PWSSP a przedstawicielami wysokich władz przemysłu lekkiego. Chodziło o to, jak przybliżyć program uczelni do potrzeb przemysłu. Wszyscy dyrektorzy zjednoczeń chwaliłi absolwentów łódzkiej Szkoły, zapewniali, że przemysł zdolny jest wchłoniąć wszystkich, wszystkim dać zatrudnienie. Zgodni byli co do tego, że nowoczesny przemysł, to nie tylko nowoczesna technologia i sprzęt, ale nowoczesne wzornictwo i estetyka. Słowem przemysł stoi frontem do artystów. Dziś nikt już nie wątpi, że plastycy-projektanci są w przemyśle niezbędni, szczególnie w przemyśle odzieżowym i w ogóle w przemyśle lekkim, a nawet i nie lekkim.

Padło na tej konferencji tyle pięknych słów o potrzebie, pożytku i niezbędności, a w praktyce traktuje się nadal projektantów jak intruzów zakłócających spokojny rytm produkcji.

Jedną z plastyczek zaprojektowała doskonały wzór piaszcza. Niestety, ze względów, które wyjaśniłem powyżej nie moge podać nazwiska. Jak anonimowość to anonimowość. Za wzór ten otrzymała nagrodę. Był po prostu znakomity, wszystkim się spodobał, nawet Komisji Branżowej, instytucji o której plastycy wyrażają się z przekąsem i bez należytej estymy, jak to zwykli czynić wszyscy ludzie wobec wszystkich komisji oceniających. Dojdą, że sekcja Projektantów Przemysłowych przy Łódzkim Oddziale ZPAP ma zamiar na najbliższym walnym zjeździe swej organizacji wystąpić z propozycją zweryfikowania plastyków — członków komisji oceniającej. Nasza dzielna artystka bardzo się z tak wysokiej oceny i nagrody uradowała a projekt poszedł do realizacji. Poszedł i nie wrócił. Zupełnie o nim zapomniała. Ujrzała go dopiero niedawno na wystawie bublei.

Oczywiście w trakcie produkcji nieco go zmodyfikowano. Zamiast guzików małych przyszyto duże, zamiast koloru złotego zastosowano brązowy itp. Wynik jak wyżej. Oto są skutki braku nadzoru artystycznego w procesie produkcji. Owszem, przemysł otworzył bramy swych zakładów dla artystów, ale zamknął ich w małych, ciasnych pokoiłkach i zakazał mieszać się do spraw produkcyjnych. Konsekwencje tego stanu rzeczy sam niejednokrotnie bardzo od-czuwa.

Krytyk Gottfried Kraus pisał o „Muzyce żalobnej” Lutostawskiego w „Salzburger Nachrichten” m. in.: „Przy maksymalnej oszczędności środków wyrazu, klarownej czystości tonów instrumentów smyczkowych, przy wspaniałym opanowaniu tak techniki kompozycji dodekafonicznej jak i tradycyjnych układów formalnych osiągnął to co niewielu kompozytorom tego stulecia się udało: ukształtowanie własnego, oryginalnego i jednocześnie powszechnie cenionego stylu”.

Prócz kompozycji Lutostawskiego i Pendereckiego odegrano koncert e-moll Chopina.

Podczas gdy jedni byli na koncercie nowoczesnej muzyki polskiej, którą u nas stosunkowo rzadko się słyszy, inni mieli okazję obejrzenia w ciągu trzech wieczorów — polskich filmów krótkometrażowych i dokumentalnych.

Specjalnie podobał się film pt. „Czerwone i czarne” o walce byków, obfitujący w oryginalne i świetne pomysły oraz film pt. „Niebezpieczeństwo” o życiu kur w dobie maszyn. Pewien niezbyt już młody widz zwrócił się do mnie

po pokazie i powiedział, że tego rodzaju krótkometrażowych filmów, tak po mistrzowsku zrobionych, nie oglądał jeszcze nigdy w naszych kinach. Mogłem jedynie przyznać mu rację!

W poniedziałek, 13 października, na temat polskich uniwersytetów przemawiał prof. Stanisław Turcki, długoletni rektor Uniwersytetu Warszawskiego i przewodniczący Towarzystwa Polsko - Austriackiego. Wykład odbył się w nowo założonym uniwersytecie salzburskim i zgromadził wielu profesorów i studentów. Prof. Turcki przedstawił trudności z jakimi spotykał się po wolnie polskie uniwersytety. Dla nas szczególnie interesująca była informacja o tym, że fakultet medyczny już przy końcu lat czterdziestych został wydzielony z tradycyjnego związku z uniwersytetem i stał się odrębną uczelnią. Również wiadomość o wyodrębnieniu pewnych dawnych fakultetów w samodzielne placówki naukowe została przyjęta z zainteresowaniem. I u nas również co raz częściej poruszane jest zagadnienie w jaki sposób powinno się zarządzać takimi specjalnościami jak

chirurgia, asyriologia lub prawo kanoniczne, a więc gałęziami nauk, których cele i zadania są bardzo różnorodne. Toteż nie dziwnego, że w związku z wykładem prof. Turckiego wywiązała się ożywiona dyskusja, która trwała do późnych godzin nocnych. Wykład ten został także wyczerpująco omówiony w prasie.

Dalszym ważnym punktem programu Dni Polskich był wieczór chopinowski znanej już u nas pianistki Haliny Czerny-Stefańskiej. Krytyka podkreślając wspaniałą technikę jej gry równocześnie napomknęła o pewnym chłodzie interpretacji. Miejsca w sali wyprzedano całkowicie, przy czym większość słuchaczy stanowiła młodzież, która serdecznie oklaskiwała pianistkę. Następnego dnia odbył się jeszcze na uniwersytecie wykład polskiego prof. uniwersytetu Władysława Markiewicza na temat: „Problematyka narodu w polskiej socjologii”. Także w związku z i z tym wykładem wywiązała się żywa dyskusja.

Uroczyste losowanie nagród stano-

wiło zakończenie Polskich Dni. Wszystkie nagrody zostały wystawione w wypełnionej po brzegi widzami sali kinowej. Publiczność mogła więc przekonać się na własne oczy o wysokiej jakości i pięknie polskich kryształów, kilimów, wyrobów snycerskich, ceramiki itd. Lot samolotem do Polski wygrał pewien dziennikarz z Heidelbergu, który akurat przypadkowo bawił w Salzburgu. Z ogromnego kosza do bielejny wyciągano pozostałe losy z nazwiskami zdobywców nagród, przy czym okazało się, że kupony konkursowe nadane były nie tylko z całej Austrii, ale także i z Niemieckiej Republiki Federalnej. Echo tych Dni wykroczyło więc daleko poza granice Austrii. Obecni na sali zdobywcy nagród osobiście odbierali je z rąk prowadzącego imprezę, przewodniczącego Towarzystwa Austriacko - Polskiego, dr Teodora Kanitzera.

Na zakończenie należy stwierdzić, że organizacja Polskich Dni, która spoczywała w godnych rękach dr Kanitzera, była wyjątkowo sprawna. Mieliśmy już Dni Węgierskie, An-

gielskie i Jugosłowiańskie, ale nigdy program nie był tak obszerny, wielostronny, interesujący, tak urozmaicony i bogaty jak w czasie Dni Polskich.

Należy jedynie żałować, że nie mógł przybyć nikt z polskich pisarzy, aby reprezentować polską literaturę i nie wystąpił żaden zespół taneczny. Otrzymaliśmy jednak przyrzeczenie, że nastąpi to później.

Prasa Salzburga, nastawiona zresztą nieco sceptycznie, podawała wyczerpujące notatki i publikowała nie tylko recenzje muzyczne, ale reprodukowała także fotografie plakatów i polskich wyrobów. Ton tych wypowiedzi był jawnie życzliwy.

Na gruncie zainteresowania, jakie wzbudziły Polskie Dni, utworzony został z inicjatywy piszącego te słowa, Oddział Towarzystwa Austriacko-Polskiego, którego pierwsze zebranie odbyło się 8 listopada w Salzburgu. Naszym zadaniem będzie stworzenie — choćby w skromnych ramach — ogniska polskiej kultury. SALZBURG, 19. 10. 69.

TEUM. J. S.

OCZEKIWANIE

Lubiłem też siadać w hallu recepcji, w pokrytych skórą wygodnych fotelach, blisko wyjścia, skąd płynął zapach róż, goździków ustawionych w stoiskach cwaniana Gzela.

Obserwowałem wchodzących. Z kufra przykrytego ciuchami, angielską marynarką, znikało zmęczenie. Wyciągałem nogi. Zapalałem fajkę. Uśmiechałem się i ja. W roku obok windy hotelowy barek. G. często zachodził. Właśnie książkę wydał. Dżinsy. Na głowie bałagan. Buty bez śladów czyszczenia.

Przechodził zawsze szybko, mijając wycieczkę z Irkucka, zagubiony w tłumie jasnych, karakułowych czapek. Nieraz siadał w fotelu obok starszej kobiety. Rozmawiali po angielsku. Inny uśmiech na jego twarzy. Miałem wiedzieć jak sprządać kartki co wypełniają środkową szufladę bidermajerowskiego sekretarza.

Przechodził także Andrzejewski, Putrament, Gruza zawsze z no „sewerynką”, a także Czarodziej, Ja chwa, Meloman i Ali. Od czasu do czasu smukła o jasnych beżowych włosach dziewczyna szła nie patrząc na nikogo. Czekałem też na nią. Siadała w głębi obok kominika. Z mojego miejsca widziałem jej profil i włosy lekko rdzawe w świetle secesyjnego kinkietu.

Myślałem o swojej dziewczynie w zakurzonej mięście, a potem patrzyłem na tamtą. Jej długie nogi. Płaskie o szerokich nosach buty. Zmęczenie. Kurz zakurzonego miasta nakrywał szarym kocem twarz mojej dziewczyny. Rośnięcie, ci z Irkucka długo debatowali: winda? czy schodami? — wreszcie wolno zwartą grupą ruszyli w górę czerwonym, plusowym szlakiem.

Mijał jeszcze jeden dzień pełen wrzasku wieczne zastrachanego szefa.

— Po co mi te twoje inteligentne gatki — krzychał — aktor jest? Nie ma! To w dupę mnie możesz pocałować.

I to też jest film. Ludzie śpiąc ulicami, gonią myśli z wysiłkiem maratończyków. Film... myślę, reżyser, aktor, czasem operator. A inni? Oświetlacz Olek Dziobol co sam nosi piątkę ze statywem, góra nie góra? Chiopaki, co czolg z błota po każdym dublu wyciąga ją zamrażniętymi rękami. Imy, niańki z produkcji, nosy zakatarzonymi wiecznie aktorom wycierający, narażeni na reżyserskie humory, kace, miesiączki, migreny, zawiedzione miłości, cały ten szajs, o którym nie wie nikt z tych co w kinie lży lżykają, albo szczęki sztuczne gubia w wodospadach śmiechu.

Tak myślałem prostując nogi wpatrzony w profil dziewczyny.

Podnosiła filiżankę. Blik światła na wilgotnych wargach. Łykałem ślinę. Czekałem aż wstanie, poda barmanowi pieniądze. Ruszy ku wyjściu. Mogłem patrzeć na jej twarz. Nasze oczy spotykały się w krótkim zderzeniu. Nic nie znaczące spojrzenie. Być może chłód, który mocno wciskał mnie w przyjazne ramiona fotela. Drugi już miesiąc brakuje odwagi. Kilka kroków, słowa, może na ulicy? Skrecała za wsze w stronę Starówki. Idealnie zgrabna. Wyobcowana, samotna jak gdyby w tej mgłę będącej tworem mojej wyobraźni.

I teraz jej oczy dłużej niż zwykle objęły moją twarz. Wstałem gwałtownie. Ktoś zaklął po rosyjsku. Nowa gruzińska wycieczka zawiadnęła hallem. Muśiała się zatrzymać. Wystarczył lekki ruch. Mogłem dotknąć jej dłoni, bo o tym też myślałem przez prawie dwa miesiące.

W chwilach wielkiego napięcia, bywają ulamki sekund kiedy świat domość czeka jak gdyby na jakieś objawienie, podczas gdy myśl zasnuwa się miękką tkaniną spokoju, rodzaj nadprzyrodzonego transu, coś na kształt snu, i w czasie takiej pauzy zdołni jesteśmy do odrobiny spokojnego rozmówienia.

— Pomogę pani — powiedziałem wolno. Skinęła głową.

Potem minęliśmy Dziekanę. Mało słów. Klekot serca, dwumiesięcznej rozterki. Jej uśmiech lekkiej aprobaty.

— To już tutaj.

Umówiliśmy się za tydzień.

Siedzę teraz w hallu recepcji, w pokrytych skórą, wygodnym fotelu. Jeszcze godzina. Obserwuję wchodzących. Dziewczyna z recepcji przesyła uśmiech. Uśmiecham się także. Ruch niewielki. Sumuję wrażenia minionych dni. Ostatni redaktor z którym rozmawiałem. Jego twarz. Spoczone wilgotne dłoń. Oczy, hen gdzieś za oknem, a widok z redakcyjnego pokoju nieciekawym. Tor myśli błąka się

prowinjonalnym szlakiem. Siedzę spłoszony. Na stole próby mojej wyobraźni. Huk przejeżdżających tramwajów. Ostre hamowanie. Piasek pod kołami. Wpatruje się w jego usta. Oczy daleko. Nigdy podczas całej rozmowy, a trwała godzinę nie zagładnął w moją twarz.

— Widzisz... — mówił — masz talent chłopie, ja w to wierzę. Wszystkim mogę o tym powiedzieć. Wszystkim rozumiesz — tu w pierś się stuknął, dalej w ten pejzaż za oknem zapatrzony, jak bym tam i ja miał szukać powodzenia, sukcesu w tych kartkach co je jeszcze zamierzam zapisać. — Talent masz! — szeptał, bo cicho się nagle zrobiło, tramwaje odjechały — ale popracować musisz. Stronice czterdzieści trzy razy przeczytać powinieneś, oczyścić, wypolować, znać jeszcze ślady drobnego dyktanta. Poprawisz. Przynieś. Pomogę. Lubię wyciągać rękę do tych, co talent u nich za pa zuchą... a reżyser co? romans skończył? Eeh, życie... i dziecko ma lenkie mają... wy filmowcy... Skąd ty się tam znalazłeś?

Nie wiem... pomyślałem. Jak Boga kocham, że nie wiem.

Czekałem na dziewczynę. Niebieska, papierosiana trucizna wisiała nad głową. Odczuwałem niejasno, trudno do określenia przyplwy radości. Zegar na ścianie posuwał się do znów zwalniał w rytm fal we wnętrzu uśmiechu.

...potem jechaliśmy windą. Światła mijanych pięt rozjaśniały jej twarz. Ubrana w złotą, grubo tkana koronkową sukienkę stała opierając głowę na swoim ramieniu. Wsiadł zwolnił na czwartym. Trzasnęły drzwi. Jego ukłon. Dziesięć złotych. Schował, szemrając słowa nijakiej treści. Długi korytarz. Pod stopami miękkiego dywan. Lustra na ścianach. Ona, ten sam krok pełen godności, o której trudno cokolwiek powiedzieć. Doskonała w harmonii z resztą rekwizytów. Ideal-

nie pasująca. Wkomponowana w otaczające ją tło. Pokój. Średnie światło. Krok w stronę radia. Bu telka koniaku. To w dwóch ruchach. Pokoik mały, z balkonem. Oświetlony skraj parku. Ulica stromo opadająca w dół. Białe firanki na wietrze płynącym z dołu gdzieś od Wisły.

Piła drobnymi łykami. Zdjąłem marynarkę. Staliśmy na balkonie. Jej pocałunki. Dalej jak w opowiadaniu początkującego literata. Dia logi też jak u początkującego literata.

Przez chwilę patrząc na nią, kiedy dy sukienka i bardzo droga bielizna starannie złożone drzewały na krześle, zauważyłem ledwie dostrze galną zmianę tej twarzy, której obraz w dwumiesięcznej wędrówce snów tworzyło oczekiwanie. Zaraz ust nabrał charakterystycznej ostrości.

— Zgasło światło — powiedziała. Zgasilem. Wszystko powróciło do normy.

Kiedy otworzyłem oczy już jej nie było. Białe firanki na wietrze, płynącym z dołu gdzieś od Wisły. Pusta butelka koniaku. Wstałem szukając papierosów. Podeszedłem do szafy. Wrócił na krótko obraz twarzy dziewczyny, ten obraz tuż przed zgaszeniem światła. Papierosów nie było. Otworzyłem portfel. Brakowało jednego z pięciu takich samych banknotów co się tak z nich śmiejemy, do naklejek soku pomidorowego porównując, jednocześnie żarliwie do kieszeni chowając w określony dzień każdego miesiąca.

Najpierw przeszedł Putrament, potem Andrzejewski, Czarodziej, Ja chwa zagadał coś z daleka, nie bardzo zrozumiałem. Skupiony obserwowałem wskazówki zegara wiszącego w hallu recepcji. Zbliżał się kres oczekiwania. Wiedziałem, czułem to, że dziewczyna przyjdzie na pewno. Może uda się zaprosić ją na górę? W szafie stoi butelka gruzińskiego koniaku...

ANTONI SZRAM

Portrety

(Kartki z wystawy)

Miło nam odnotować premierową ekspozycję malarstwa i grafiki, otwartą 29 września w Piotrkowie Trybunalskim i inaugurującą nowy rok kulturalno-oświatowy Ziemi Łódzkiej. Wystawa portretów zasłużonych, wybitnych postaci, ludzi nauki, oświaty, kultury, a przede wszystkim działaczy ruchu rewolucyjnego i robotniczego naszego okręgu — pokłosie konkursu, w XXV-lecie PRL rozpisanego przez Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Zarząd Okręgu ZPAP w Łodzi — była hołdem pamięci artystów plastyków dla tych ludzi postępu, humanistów, którym wiele dziś zawdzięczamy.

Ta nowa, pierwszy raz w Polsce zorganizowana inicjatywa artystyczna, zawoocowała przede wszystkim obfitością nadesłanych prac. Płon pozwala przekonać się, jakie są zainteresowania współczesnego artysty, jakim sprawom poświęca swój talent, swe możliwości twórcze. Organizatorom chodziło właśnie o humanizację zainteresowań plastyków, by rozszerzyć ich światopogląd polityczny i społeczny; tym bardziej, że forma prezentowanego dorobku — malarstwa i grafiki — ma również szansę dotarcia do szerokiego kręgu odbiorców. Wystawa ta jest jeszcze jedną artystyczną imprezą upowszechniania plastyki, obok plenerów Ziemi Łódzkiej o ogólnopolskim rozgłosie i znaczeniu.

Sąd konkursowy biorąc pod uwagę wyrównany poziom prac postanowił nie przyznawać pierwszych nagród w malarstwie jak i w grafice, a przyznać — w dziedzinie malarstwa: dwie drugie Benonowi Liberskiemu

(za portret Matuszewskiego) i Ewie Tyc (za portret Strzebińskiego), trzy trzecie: Zdzisławowi Głowackiemu (za portret Dobrowolskiego), Katarzynie Kozielewskiej (za portret Schillera) i Henrykowi Strumiłło (za portret Skarżyńskiego) oraz wyróżnienia: — Wiesławowi Garbolińskiemu (za portret Strzelczyka i Wesolowskiego), Barbarze Krawczyńskiej (za portret Długosza), Benonowi Liberskiemu (za portret Grochalskiego), Czesławowi Motylewicz (za portret Reymonta), Józefowi Wasiołowi (za portret Reymonta) i Stefanii Zaremskiej (za portret Grochalskiego). W dziedzinie grafiki: dwie drugie — Leszkowi Róźnie (za portret „Małego Francka” Zubrzyckiego) i Jerzemu Woźniakowi (za portret Kowalskiego) oraz trzy wyróżnienia — Jerzemu Jędrzejczakowi (za portret Głębskiego), Magdalenie Kapuścińskiej (za portret Pietrusińskiego) i Antoniemu Wirhanowiczowi (za portret Strzelczyka).

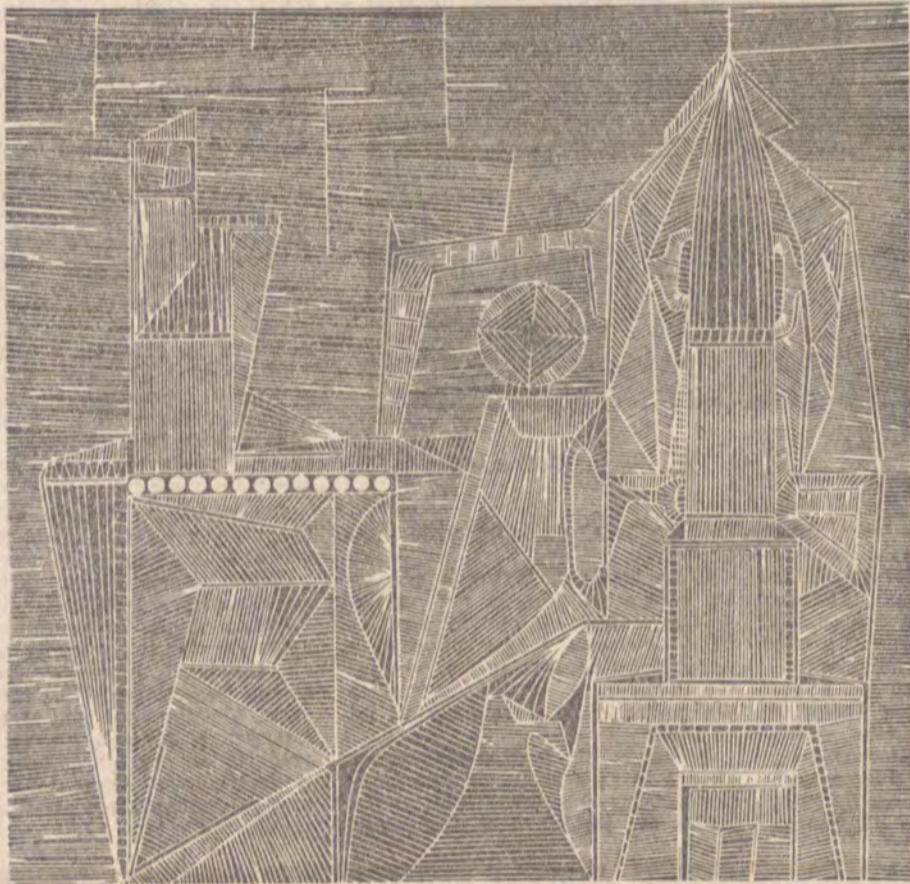
Wystawa właściwie nie wymaga komentarza teoretycznego wobec oczywistego faktu, że nie można sobie wyobrazić malarstwa portretowego bez rozumnie go działania ludzkiego, bez realnie obranego celu. Tym razem niech to będzie tekst spowiedzi jurora; własny pogląd w typowaniu nagród. Zgodnie z takim rozumowaniem utrzymuję, że wystawa prezentuje dobry poziom, portrety nagrodzone i wiele innych nie utraciły nic ze swojej wartości zasad techniki „dobrej roboty” malarstwa i graficznej. Malarstwo wraca do trzech swoich zasadniczych elementów jakimi są linia, barwa i dynamika — wyda je mi się — że wracamy obecnie do źródeł poszcze gólnych gałęzi sztuki, szukamy siły w tworzyw, w jakim artyści pracują, swobodnie się poruszają — sądzę — że dobry portret będzie niezmiernie ważny nie tylko dla zleceniodawcy, ale i dla samej sztuki.

Jednak muszę wyznać: trudny był wybór prac do

nagród; na pewno wielu ludzi będzie polemizowało z werdyktami; na przykład — dlaczego portret Strzebińskiego (E. Tyc) otrzymał tak wysokie wyróżnienie, a nie obrazy Justa, Nirnstaina, Kędzi i tak dalej, błęgie, szybko malowane; nie kwestionuję tutaj przekonań — mnie nie angażują po prostu prace kokieryjnie cyzelowane; nie przyjmując eksperymentu w portrecie i wszelkiej improwizacji na ten temat za dewizę działania twórczego — muszą jednak przyznać, iż są to elementy bliższe twórczości niepokojowi, jakli ostatecznie winien cechować artystę, niż rzemieślniczo poprawność. Wiec głosowałem na malarstwo Ewy Tyc.

Portrety są różne, studyjne, patetyczne, poetyckie i melancholijne, niedokończony jak życie niektórych działaczy, tragicznie przerwane w chwili rozkwitu sił. Malowane z typową dla każdego artysty manierą malarstwa; odnajdziemy tu warsztat Garbolińskiego, Krawczyka, Justa, Liberskiego, Olszewskiego, Wasiołka, Róźgi, Głowackiego, Hochlingera, Kromera, Zaremskiej, Mroza, Skrobińskiego, Nirnstaina, Romana, Gnypa i jeszcze co najmniej dziesięciu innych autorów odszukamy po palecie spośród pięćdziesięciu sześciu wystawiających (na konkurs zgłoszono 87 prac malarstkich i 27 grafik).

Człowiek i jego osobowość są źródłem inspiracji pięknych wizji plastycznych — poziom, jak się rzekło, zadowalający — artyści przetrwarzają je następnie celowo w przemysłne układy, których kształt ostateczny ma przekazać zamierzone treści. Portrety o wysokich walorach artystycznych — wizerunki działaczy zasłużonych dla Ziemi Łódzkiej — powinny trafić do szkół, zakładów pracy, domów kultury, bibliotek itp. w miejsce oleodruków.



H. PŁOCIENNIK — Przygotowanie do lotu

ALINA KULIŃSKA



Słuchać twojego głosu
mówisz powoli
serce
podajesz mi w dłoniach
a stara trzeszcząca płyta
rosyjski śpiewa
romans



Nie zrozumiesz mnie.
Uśmiech nie będzie nic znaczył.
Pójdziemy różnymi drogami
do różnych rozpacz...

SYMBOLE W KAMIENIU ZAKŁĘTE

Wiek dwudziesty jest wiekiem narodzin współczesnego monumentalizmu. Złożyło się na to wiele przyczyn. Doświadczenia jakie przypadły w udziale narodom Europy i Azji; rewolucje kulturalne, nowe prądy we wszystkich dziedzinach sztuki; rozwój nauki i techniki i związane z tym przemieszczenie się człowieka w jego własnym systemie wartości — oto tylko niektóre z przyczyn. Gwarancją autentyczności nowego monumentalizmu upatrywać można w częściowej podświadomości procesu jego tworzenia. Właściwe odczytanie jego istotnych wartości i ich usystematyzowanie — to już sprawa czasu i perspektywy historycznej. W tej chwili stwierdzić można jedno na pewno — monumentalizm XX w. to wprowadzenie człowieka w jego skali rzeczywistości, to uwzględnienie jego współczesnych potrzeb i jego pragnień duchowych, to przestrzeń architektonicznie zorganizowana. Paradoxy, które tkwią w powyższych sformułowaniach są pozorne, mimo, iż niektóre realizacje zdają się tym pozorom przeczyć. Doprawdy, Grecja nie składała się z samych Akropolii, a Egipt z samych piramid. Architektura tworzy i dziś witrażowskie składowe dignitas jako symbol swojej epoki — Chandigarh Le Corbusiera, Brasilia Costy i Niemeyera, Florida Southern College F.F. Wrighta, Ciudad Universitaria w Meksyku, General Motors T. Center Saarinen, Caracas...



przeszła długą drogę ewolucji, znaczącą takimi słupami milowymi jak symboliczno-psychologiczne doświadczenia Rodina, niewzruszone w swojej statyczności akty Maillola, ascetyczna synteza formalna kompozycji Brancusi'ego. Ten ostatni odszedł od przedmiotu, opisu, od przedstawienia na rzecz czystej formy, architektoniki prostych elementów, które zaczęły sugerować a nie oznaczać; wyrażać rzeczy niewyraźne samą siłą swej ekspresji. Krokiem następnym było

wyjscie rzeźby na wielkie przestrzenie, gdzie oczekiwała na nią architektura. Okazało się, że żywiołem współczesnej rzeźby jest słońce, powietrze, ziemia, przestrzeń — a to wszystko ofiarować może i chce nowoczesna architektura, dziejąca się na dużych przestrzeniach, posługująca się formami najbardziej prostymi. Konstytucje bowiem obu dyscyplin, warunkujące osiągnięcie pełni wyrazu są te same. Architektura gwarantuje rzeźbie oprawę — rzeźba staje się centrum

dramatycznym współczesnej struktury urbanistycznej. Pierwowzory łatwo odnajdziemy w przeszłości. We wczesnym renesansie rzeźba opuściwszy półmrok wnętrza katedralnych, w pełnym blasku słońca, na placach miast włoskich i francuskich okazała się równie ekspresyjna i monumentalna.

III.

Razem z ewolucją formy, zmianie ulega i funkcja społeczna pomnika. Nie jest on obecnie apoteozą istoty nad-

ziemskiej, władcy, księcia, tyrana w sposób najprymitywniejszy, barbarzyńsko sportretowanego, a symbolem idei, czyjejś działalności, momentu historycznego, syntetyczną kompozycją przez strzenną, wyrażającą sens, odczucie miast kronikarskiego opisanie faktu.

Po latach grozy pozostały niezliczone ślady walki, bohaterstwa, męczeństwa, anonimowych śmierci. Tych śladów tak wiele na ziemi, w sercach i pamięci ludzkiej, że nie jest sprawą przypadku, iż większość powstających pomników to monumenty, które są wyrazem tej pamięci. Aby wypowiedzieć cały ogrom bólu i potęgę protestu wobec tych niezliczonych i straszliwych śmierci, koniec nie było sięgnięcie po formy abstrakcyjne, po wielką metaforę, nowy materiał. Te abstrakcyjne formy nie są zresztą nowością. Wzorów bogatych dostarczyły groby sakralne, dolmeny i menhiry, egipskie obeliski, greckie kolumny, rzymskie łuki triumfalne. Ciągłość kultury i tradycji jest tu wyraźna i konieczna. Oczywiście powstało wiele pomników figuratywnych, dosłownych, opowiadających — kompozycji bądź w założeniach klasycznych, bądź pełnych ekspresji, dynamiki, tragicznej deformacji. Główna linia rozwoju poszła jednak w kierunku abstrakcji, bo tylko ona mogła wykrzyknąć, że język normalny powiedzieć nie potrafi. Nie jest też sprawą przypadku, że pomniki wyszły w krajobraz, że opuściły zgiełkliwe ulice i place miast. („Grunwald”, Góra św. Anny, miejsca obóz koncentracyjny, Puławy, Chełmno, Polichno). Szukały miejsc sprzyjających kontemplacji, potęgujących ekspresję. Przestrzenie ziemi i nieba otworzyły przed architekturą i rzeźbą ogromne perspektywy. Dodały tak ważny element jak ponadca-

zność — symbolu. Trwałości uczucia i materiału. Te architektoniczno-rzeźbiarskie akcenty, rozsiane w naszym krajobrazie, nie tylko wzbogaciły go o nowe, trwałe elementy. Uczyniły widocznym fakt, jak bogaty potrafi być język współczesnej plastyki, kiedy zaczyna mówić o sprawach najważniejszych, kiedy wyrazić pragnie tragedii historii, narodu, jednostki...

IV.

Ludziom, którzy „nie odwołali krwi” winni jesteśmy pamięć i największą wdzięczność naszą. A jakże może być piękniejszy hold złożony „tym, co nie doszli” ponad dzieło sztuki, w którym artysta wyraził bohaterstwo, ideę, wagę i kształt ostatecznego zwycięstwa. Dla przyszłych pokoleń pomniki te, rozsiane w polskim krajobrazie, na miejscach męczeńskich śmierci, przegranych i wygranych walk stanowią będą księgą pamiątkową, z której czerpać będą siłę swoją i dumę. A dla tych, którzy chcieliby powtórzyć lata pogardy — będą one ostrzeżeniem, wywołującym w kamieniu krzykiem „No pasaran!” Pomników związanych z martyrologią powstaje wiele — ale o wiele za mało. A przecież nie mamy prawa zapominać o żadnym miejscu, gdzie walczyli i umierali ludzie. Gdzie bezimienna śmierć pochłaniała miliony, tysiące istnień, po których pozostał jedynie popiół, resztki baraków, ruiny krematoriów. Gdzie toczyły się walki straceńcze, potyczki krwawe, gdzie każda kłeska była zapowiedzią przyszłego zwycięstwa. Nie mamy prawa zapominać nie tylko ze względu na tych, którzy tam umierali — także, a może przede wszystkim, ze względu na tych, którzy żyją i żyć będą.

Przeszłość i teraźniejszość

Zbawidowcy

„Zbawidowcy” — taki tytuł nosi tom, wydany przez Zarząd Główny ZBoWiD z okazji IV Kongresu tej liczącej 300 tysięcy członków organizacji, który odbył się w Warszawie w dniach 19 i 20 września bieżącego roku. Teksty ponad 30 autorów, ciekawy zestaw dokumentalnych ilustracji, doskonała (wyjąwszy okładkę) forma graficzna wydawnictwa, składają się na tę okolicznościową publikację. Almanach ten nie przypomina nam licznych reklamowo-okazjonalnych wydawnictw, które tak łatwo rodzą się w różnych centralnych, naczelnych lub głównych zarządach, aby następ-

nie po paroletnim leżakowaniu w magazynach składnicy księgarskiej w drodze na przebieżnię jeszcze o kioski loterii książkowej. Nie jest to zasługa jedynie doskonałej formy książki — chodzi wszak przede wszystkim o jej treść.

Książka ta znajdzie się niechybnie w ręku każdego nauczyciela historii i wychowawcy obywatelskiego. Weźmie ją do ręki działacz młodzieżowy i maturzysta. Zagładnie do niej każdy, komu bliskie są sprawy niedawnej przeszłości Polski i jej teraźniejszości.

ZBoWiD — mówił z trybuny IV Kongresu prezes Rady

Naczelnej tej organizacji Józef Cyraniewicz — ma powiem „własny specyficzny odcinek działania. Powinniśmy dążyć do przekazania młodzieży i całemu narodowi całej naszej wiedzy o tamtej epoce. Budzić zrozumienie i szacunek dla okresu wielkiej próby, jaką była wojna i okupacja, by powstała prawdziwa, rzetelna, udokumentowana historia tych lat, obrazująca słuszną walkę narodu polskiego przeciwko najzjadliwemu hitlerowskiemu, prowadzoną wspólnie ze wszystkimi narodami Europy i świata. A zarazem by powstał autentyczny wizerunek historyczny hitlerizmu, faszystwu i imperializmu — ery ludobójstwa, by nie zatarł się w pamięci ludzkiej ani nie został zafalszowany przez „poprawiaczy historii” fabrykujących alibi dla notorycznych zbrodniarzy wojennych.”

Nie zawsze uświadamiamy sobie, jak doniosła, była rola ZBoWiD w walce, jaką wypadło nam stoczyć nie tylko w naszym kraju o odkłamanie obrazu najnowszych dzie-

łów naszego narodu i państwa. Inicjatywy tej organizacji dotyczyły nie tylko wyprostowania krzywdzonych i niesprawiedliwych historycznych ocen. Chodziło przecież o większą stawkę — o stosunek do ludzi, do tych wszystkich, którzy na różnych frontach i w różnych krajach, pod różnymi hasłami ale pod tym samym biało-czerwonym sztandarem stanęli do walki o jedno — o Polskę wolną i demokratyczną — z jednym, najniebezpieczniejszym wrogiem. Proces odkłamywania obrazu dziejów wojny i okupacji nim ogarnął ludzi pióra, i mógł trafić na karty książek i dzienników dokonywał się już od dawna w codziennej, zbawidowskiej pracy. Jest to bowiem organizacja wszystkich tych którzy wtedy walczyli.

Dlaczego używać tu czasu przeszłego? Przecież nie zaprzestali swej walki i dziś, chociaż minęło już ćwierć wieku od tamtych tragicznych chwil. Dobiłali się sprawiedliwej dla wszystkich, którzy wtedy sięgali po broń, dobi-

jają się wyroku sprawiedliwości dla tych, którzy byli sprawcami tragedii narodów, martyrologii narodu polskiego, a dziś mają się najlepiej w tym ponoć wolnym — i dla hitlerowskich zbrodniarzy — świecie. Walczą o rzetelny, bogato udokumentowany obraz tamtych lat, zadają kłam tym poprawiaczom historii, którzy jak osławiony amerykański „historyk” David L. Hoggan na wsze sposoby wybielają hitlerizm, usiłując całą odpowiedzialność za wybuch II Wojny Światowej zrzuć na Polskę i Polaków.

Mówiono o tym wszystkim wiele podczas obrad IV Kongresu ZBoWiD — zarówno w referacie sprawozdawczym prezesa Zarządu Głównego Mieczysława Moczara, jak i w przemówieniach. Podkreślano społeczną potrzebę utrwalenia i upowszechnienia pamięci o prawdziwym kształcie walki narodu polskiego w tamtych, najtrudniejszych latach. I tej właśnie nikomu nieobojętnej sprawie dotyczy książka „Zbawidowcy”. Mówi o tradycji

naszej walki o niepodległość, o Wrześniu 1939 roku, o martyrologii narodu polskiego pod hitlerowską okupacją, o ruchu oporu i walce Polaków na wszystkich frontach, o zwykłej i budowie nowej, socjalistycznej Polsce, o dniu dzisiejszym kombatantów... Całość jak kłama zamyka sześć główek kalendarium działań wojennych, większych akcji i walk partyzanckich na ziemiach polskich w latach 1939 — 1945.

„Na tej prawdzie historycznej — mówił na IV Kongresie ZBoWiD Józef Cyraniewicz — uczyć się będą pokolenia młodzieży polskiej. Uczyć patriotyzmu i internacjonalizmu zarazem. Umówienia Ojczyzny i umiłowania ludzkości. Nie ma bowiem w prawdziwym patriotyzmie nie, co by zwracało się przeciwko innym ludom i narodom. Tym właśnie różni się patriotyzm od nacjonalizmu. I nie ma w prawdziwym patriotyzmie nie, co by go kłóciło z internacjonalizmem. Tym też różni się patriotyzm od nacjonalizmu”.

JOZEF GRZELAK

POLONICA

POLSKI ALBUM PARYSKICH PAMIĄTEK

Bronisław Horowicz, wybitny reżyser, uczeń Leona Schillera, autor znakomitej książki o inscenizacjach operowych, od kilku dziesięciu lat mieszka w Paryżu. Nie stracił jednak kontaktu z krajem, w paryskim radio inscenizuje raz po raz polskie utwory. W listopadzie ub. r. dał „Dwa teatry” Jerzego Szaniawskiego, w tłumaczeniu Jadwigi Kukulczanki i Geor-

ge’a Sidre’a, oraz „Matkę” Stanisława Ignacego Witkiewicza, tłumaczoną przez Jadwigę Kukulczankę i francuskiego literata, François Marie. Audycje te cieszyły się tak dużym sukcesem, że zostały powtórzone. Horowicz w marcu 1969 zorganizował i wyreżyserował wieczór poświęcony Wyspiańskiemu, z fragmentami „Akropolis” i „Nocy listopadowej” (te ostatnie w przekładzie Casina). Obecnie Horowicz przygotowuje album fotografii, poświęconych licznym polskim pamiątkom i zabytkom w Paryżu. Album ten będzie się nazywał prawdopodobnie „Polskie przystanki” i pokazywał na przykład postój autobusów paryskich z widoczną tabliczką „Place de Varsovie”. Wydawnictwo to powinno się jak najszybciej ukazać z dwu-

języcznymi notami objaśniającymi, polskimi i francuskimi. Montparnasse, dzielnica pełna pamiątek po Wyspiańskim, Slesimskim i tylu innych Polakach, rue de Seine z tablicą na cześć twórcy „Pana Tadeusza”, rue Pont-Neuf koło Champs Elysees, gdzie umarł Juliusz Słowacki, place Vendome związany nierozdzielnie z pamięcią Chopina, ulice po których krążył Norwid, rue Glaciere gdzie przebywał Zapolska i Lorentowicz, miejsce gdzie opublikowano „Que vadis”, dawne „drzewo krakowskie” w Palais Royal, hotele w których wiersze o Paryżu pisywała Pawlikowska, pracownie Boznańskiej, Stanisławskiego, A-

xentowicza, Mehoffera, Kawackiego. Do Krzemienia, miejsca urodzenia poety, które szczęśliwie uniknęło wojennych zniszczeń, zaproszona delegacja polskich pisarzy. Mogli się tam przekonać, że ocalał z pożogi nie tylko budynek słynnego Krzemienieckiego Liceum, ale także dom rodzinny poety i pomnik na grobie jego matki, której Słowacki poświęcił swe najspanialsze strofy, z pletzem przemówiany jest fortepian, na którym młodzieńki Juliusz po raz pierwszy grał Chopina.

PAMIĘCI SŁOWACKIEGO

W Związku Radzieckim godnie uczczono 160 rocznicę urodzin Juliusza Słowackiego. Do Krzemienia, miejsca urodzenia poety, które szczęśliwie uniknęło wojennych zniszczeń, zaproszona delegacja polskich pisarzy. Mogli się tam przekonać, że ocalał z pożogi nie tylko budynek słynnego Krzemienieckiego Liceum, ale także dom rodzinny poety i pomnik na grobie jego matki, której Słowacki poświęcił swe najspanialsze strofy, z pletzem przemówiany jest fortepian, na którym młodzieńki Juliusz po raz pierwszy grał Chopina.

„Jestem rad, że mogłem uczestniczyć w uroczystościach poświęconych Słowackiemu wraz z kolegami ze Związku Literatów Polskich. Odsłonięcie pomnika J. Słowackiego w Krzemieńcu uważam za dalszy krok w umocnieniu dobrych stosunków pomiędzy kulturą polską i ukraińską, a także przyjaźni między polską i całym Związkiem Radzieckim”.

K. F.

POLONICA

Pod hasłem: „Teatr studencki głosem postępu” odbywał się we Wrocławiu, od 18 do 26 października II Międzynarodowy Festiwal Festiwal Teatrów Studenckich. Nad Odrę zjechało siedemnaście teatrów zagranicznych i siedem polskich. I choć nie o wszystkich zespołach zachodnich mówić można w kategoriach ruchu amatorskiego (wiele z nich ma już charakter scen profesjonalnych), to wrocławskie konfrontacje dały mniej więcej pełny obraz tendencji drażących teatr studencki w Europie i Ameryce.

Przez tydzień miasto ożywiały długowłosi i brodaczy chłopcy, przedziwne ubrane dziewczyny. Tematem rozmów był teatr i polityka. W pamięci pozostało kilka doskonałych spektakli i dyskusje. Może nie tyle te oficjalne na konferencjach prasowych i seminariach, ile te kameralne, swobodnie prowadzone długo w noc w piwnicach Interclubu, nad szklanecczą „grzańca”, uzdrawiające świat, przenoszące się częstokroć ze sfery sztuki w sferę polityki.

Niewątpliwie najbardziej fascynujące i dyskutowane były występy Bread and Puppet Theater (Teatr Chleba i Lalki). Ten amerykański teatr uliczny, należący do głośnej w świecie grupy zespołów eksperymentalnych Off-Off-Broadway, zaprezentował kreację zespołową pt. „Wołanie ludu o mięso”. Powstał osiem lat temu, swoje szokujące widowiska prezentuje przede wszystkim na ulicach, placach i w parkach, ponieważ, jak twierdzą twórcy teatru „to co ma się do powiedzenia, powinno się powiedzieć właśnie na ulicy”. „Wołanie ludu o mięso” wypływa z pragnienia powszechnego pokoju, szczęścia i dobra na tym nie najlepszym ze światów. Spektakl oparty na mitologii starożytnej i Starym Testamencie z ciągłymi aktualizacjami politycznymi, posługując się elementami teatru marionetek i ludowego teatru sycylijskiego (kilkometrowej wysokości kukły i lalki), ma wiele cech wspólnych z atmosferą wiecu politycznego i ulicznego pochodu. W poważnej części opiera się na improwizacji. Przygotowując widowisko, jego twórcy nie spisują poszczególnych kwestii, nie piszą scenariusza. Posługują się narracją, która towarzyszy niemiełej akcji prowadzonej przez obrzynie kukły. Odrzucają programowo teatr tradycyjny, jako zbyt wygodny, ograniczający inwencję wykonawców, zabijający spontaniczność przeżycia, jako teatr nie prowokujący widza do pełnego uczestnictwa w przedstawieniu. Występując w miejscach przypadkowych np. w czasie marszów pokoju zespół wykorzystuje całą dostępną przestrzeń, a więc ulice, place, drzewa, schody i okna. I dlatego ta sama sztuka, w zależności od miejsca występów jest za każdym razem inna. Choć członkowie zespołu amerykańskiego twierdzą, że obca jest im wszelka ideologia, jednocześnie protestują przeciwko oficjalnej polityce amerykańskiej, przeciwko temu wszystkiemu co potocznie zwie się amerykańskim stylem życia.

Zaskakującą nazwę teatru tak wyjaśnia jego założyciel i kierownik Peter Schumann: „Nazwaliśmy nasz teatr teatrem chleba i lalki,

gdyż sądziliśmy, że teatr, jak chleb, powinien być artykułem pierwszej potrzeby. Chleb jest czymś absolutnie podstawowym. Rozdajemy chleb podczas przedstawienia, lub po nim. Chcielibyśmy móc nakarmić ludzi”. W praktyce nie jest to tylko naiwne przywoływanie idei chrześcijaństwa, czy też gwałtowne poszukiwanie oryginalności za wszelką cenę. Bread and Puppet Theater szokuje przede wszystkim nowym językiem teatralnym, prostym i

Koncepcje teatru z Awinionu zrodziły się z opozycji wobec komercyjnego teatru profesjonalnego, z chęci stworzenia formy i treści adekwatnej do burzliwych wydarzeń II połowy XX wieku. Jego kierownik i reżyser Andre Benedetto twierdzi: „Teatr jaki znamy i jaki zazwyczaj popielniamy, nie ma wiele do gadania w naszych rewolucyjnych czasach. To życie, minuta za minutą, jest sztuką, jest twórczością”.

„Czerwona strefa” prezentowana we Wrocławiu, nie była tylko historią współczesnego „zbuntowanego kumpla w skórzanej bluzie”. Było to widowisko polityczne odzwierciedlające rozterki młodzieży i postępowych intelektualistów — wynik ubiegłorocznych rebelii studenckich na Zachodzie. Widowisko o ludziach, którzy nie mogą

zgrać w spektaklu „Drugie drzwi na lewo”. Inspirowani wydarzeniami na uniwersytecie beogradzkim przedstawili konflikt młodej i starej generacji. Perypetie pary młodych zbuntowanych ludzi, próbujących tworzyć nowy świat oraz ich przeciwników — rodziców — uosabiających władzę, reżyser osadził w klimacie wielkiej metafory, gdzie jednak autentyczne zdarzenia polityczne (prezentowane przy pomocy kronik filmowych) przypominają, że mamy do czynienia z rzeczywistością. Jak wyjaśniał w dyskusji przedstawiciel zagrzebskiego teatru, demonstrowanie w tym kontekście nagich piersi miało być protestem przeciw tradycyjnemu staremu społeczeństwu Jugosławii. Nam wydawało się nieudaną próbą szokowania za wszelką cenę, tym bardziej, że streap-tease nie

Tekst Handkego należy do modnych obecnie na Zachodzie sztuk łączących widowisko. Autor kwestionuje istnienie teatru w jego obecnej najbardziej rozpowszechnionej postaci: przekonany o niemożliwości nawiązania dialogu między widzem a aktorem, wyładowuje się w dosłownym wymyślaniu i prowokowaniu publiczności. Przedstawienie teatru włoskiego zrealizowane w głównej mierze przy pomocy magnetofonu i zdjęć rzuconych na ekran, z przyczyn technicznych nie dotarło do widzów wrocławskich. Historia z Zagrzebia nie powtórzyła się, co musiało chyba zaważyć na dążeniu do zmiany rzeczywistości z pomocą gry odrzucającej tradycyjne środki.

Nie sposób zdać tu relację ze wszystkich ciekawych spektakli. Zabraknie omówienia komunizującego zespołu C. U. T. di Parma przybyłego do Wrocławia z przedstawieniem wg Brechta „Wyjątek i reguła”. Stichting Dans Groep Pauline de Groot z Holandii, bazującej w swoim teatrze ruchu na elementach tańca japońskiego i indonezyjskiego, bezpretensjonalnego Teatru Instytutu Lotniczego z Moskwy, interesującego teatru z Budapesztu którego realizacja „K. Z.” oparta została na technice montażu filmowego, zabraknie omówienia występów teatrów polskich. Te ostatnie zobaczyć będziemy mogli w Łodzi podczas grudniowych Spotkań Teatralnych. Reklamuję tu szczególnie „Pożądanie schwyte za ogon” Picassa i „Moja córce” Różewicza w wykonaniu krakowskiego Teatru STU.

Na koniec powstaje pytanie, czy przy całej różnorodności teatralnych propozycji na festiwalu we Wrocławiu, było coś co łączyło te spektakle? Wydaje się, że momentem wspólnym było zdecydowane odrzucenie tezy Frischa o radykalnym rozdziale między sztuką a życiem, o zasadniczej niemożliwości zmienienia rzeczywistości przy pomocy teatru. Szukając możliwości przewyższenia mieszczańskiego estetyzmu, dochodzą one do formuły teatru ulicznego, teatru rzeczywistości. Scena teatru studenckiego staje się coraz częściej nie teatr, lecz demonstracja publiczna. Rozbijając dotychczasowe struktury nawiązują do dawnych widowisk karnawałowych, kultowych i obrzędowych, plebejskich teatrów jarmarcznych, przywołując na pomoc cyrk, balet i happening. Coraz częściej teatry studenckie odchodzą od kunstloznej akcji dramatycznej dawnego typu w kierunku inscenizacji eksperymentalnej wyobraźni. Studenckie teatry Europy zachodniej buntują się przeciw sztywnym konwencjom, wojnie, dyskryminacji rasowej, władzy pieniądza i komercjalizacji życia, starają się być próbą społecznej terapii. Często naiwne, czasem ekstremistyczne w swych propozycjach politycznych, stanowią fakt artystyczny, obok którego przejść obojętnie nie można, a już na pewno ująć musi ich szczerość i pasja.

ANDRZEJ HAMPPEL

TEATR STUDENCKI GŁOSEM POSTĘPU



komunikatywnym, powrotem do źródeł teatru.

Dwie ciekawe propozycje teatralne otrzymaliśmy z francuskiej strefy językowej. Teatr — Creation z Lozanny pod kierunkiem Alain Knappa, przedstawił „Pokój” Arystofanesa i pokaz-improwizację w foyer Teatru Współczesnego, zaś La Nouvelle Compagnie d'Avignon — „Czerwoną strefę” Andre Benedetto.

Podstawową zasadą w pracy zespołu szwajcarskiego jest improwizacja i praca kolektywna. Negowanie tradycji, podporządkowanie teatru ekspresji cielesnej i wokalne, prowadzi Theatre — Creation w stronę teatru otwartego, opierającego się przede wszystkim na aktorze. Zdaniem Alain Knappa i jego wyznawców reforma i odnowa teatru dokonana się może jedynie przez rozwój sztuki aktorskiej. Aktor nie może być mechanizmem odtwarzającym napisany tekst, musi stać się pełnym twórcą, przygotowanym do artystycznego przetwarzania na scenie rzeczywistości.

znaleźć miejsca w społeczeństwie konsumpcyjnym, o ludziach podających w wątpliwość szczerość zasad, którymi kieruje się współczesny świat. Jako motto tego przedstawienia służyć mogłyby dwu wiersz z prologu:

„Za każdą skórzaną bluzą
Znajdziesz ziarno Guevary jego
strukturę”

Z podobnych przemyśleń zrodził się spektakl Danske Studenterscene z Kopenhagi pt. „Akcja”. To bardzo czytelne i jednoznaczne politycznie widowisko nawiązujące do buntu młodzieży zachodniej, składało się z kilkunastu bardzo ekspresyjnych scen. W dyskusjach podkreślano szczególnie świeżość i spontaniczność Duńczyków, wyraźne sytuacje sceniczne, sprawne aktorstwo i pełne oddanie przedstawianemu tematowi.

Swoisty mariaż teatru politycznego i erotyki pokazali studenci jugosłowiańscy z teatru Studentsko Eksperymentalno Kazaliste z Za-

humaczył się tu dramaturgicznie.

Studenci z Neue Buehne z Frankfurtu n/Menem przywieźli uświadczoną adaptację sztuki Buechnera „Woyzeck”. W ich przedstawieniu dziewczyna pokazująca piersi była już zupełnie „sztuką dla sztuki”, a manifest odczytany przed przedstawieniem, chyba tylko w ich pojęciu był skrajnie lewicowym wystąpieniem. Przypuszczam, że muszą czuć się zawiedzeni, że kapitalizm mimo ich groźnych min i „nagiego” buntu Buechnera służył zespołowi jako baza słowna, wokół której budovali swoje widowisko, a w dziejach bohatera widzieli „konflikt ponadczasowy, mogący wystąpić w każdym społeczeństwie klasowym”.

Skandalem tegorocznego festiwalu teatrów studenckich w Zagrzebiu były występy Teatro-Libero di Palermo, który zaprezentował „Publiczność zwymyślaną” Petera Handkego. Tę samą sztukę przywieźli Włosi do Wrocławia.

MAREK KRUZEROWSKI

Świadectwo PRACY

Stanałem przed obliczem personalnego. Wydawało mi się, że pafrzy na mnie żyłtłwie. Pozwolił mi się wygadać — ile mogłem wypowiedzieć jednym ichem, to powiedziałem. Pracowałem jako drwal — mó wie, i jako robotnik leśny, a najbardziej odpowiada mi kompanie rowów, tylko że przy takiej robotcie to trzeba ciągle miejsce zmieniać, a ja chęlnym na stale.

— Panie! Ja się na was znam. Głowę dam, że więcej jak trzy miesiące tu nie pracujecie. — No, a pokażcie ręce.

Wyciągnąłem swoje graby przed siebie, a ślady ostatniej roboty w „Puchaezu” już zlały, więc delikatne były jak u dziewczyny.

— Ręce jak u studenta. A praca tu ciężka. Przy przeladunku! Bo jak chcecie co in-

nego, to na razie nie. Może dopiero od nowego roku miałbym coś dla was. Jak przyjdziemy na własny rozrachunek. Tylko, że jego wzrok stał się taksujący i nieuprzejmy — trzeba by się ostrzyżać, przynajmniej do pół ucha, no i trochę z tyłu, żeby włosy nie opadały na ramiona.

Zarząd Portu Kołobrzeg. Wydział Przeladunkowy. Osobom obcym wstęp wzbroniony. Wielkie tablice informacyjne przed budynkiem. Co wolno a czego nie, i wielka brama przez którą stary Ursus na długiej stalowej linie wciąga stojący na boczny torze wagon załadowany czerwonymi dachówkami. Przypomniałem sobie szczególne zalecenia personalnego. Podanie, życiorys, dwa zdjęcia, świadectwo lekarskie, a w poniedziałek na szósta rano do roboty na pierwszą zmianę.

W poniedziałek, jak przystało na wzorowego pracownika, z tytułem robotnika niewykwalifikowanego, przyszedłem do pracy pół godziny wcześniej.

W kieszeni miałem zaświadczenie od lekarza, że zdrow jestem i silny jak żubr litewski i że najcięższe roboty mogę wykonywać bez zmrużenia oka.

— To jest „nowy” do waszej brygady — przedstawił mnie personalny brygadziści.

— Myślę, że dobrze będzie się nam razem pracowało. Si, kora jestem — przedstawił się brygadziści. — Idźcie teraz do baru.

— Tu macie przepustkę. Ważna tylko z dowodem osobistym. Ubranie robocze damy po tygodniu próbnym. No, to powódzenia!

Lece do tego baru.

— Przepustka! — warknął wartownik przy bramie i wycelował we mnie swój karabin. Bez słowa wyczerłem mu ją i jeszcze dowód, jak kazal personalny. Starannie ją obejrzał, popatrzył pod światło.

— Może być. Władza.

W tę i z powrotem wzdłuż nabrzeża nad kanałem, i lądują do ładowni statków cełgę. Stoję przy nabrzeżu siedem. Dwa ze szwedzkiej bandery, trzy z duńskiej, jeden z fińskiej, jeden z norweskiej. Sama Skandynawia.

Spotkałem po drodze Sikorę i poszliśmy razem. Brygada ma dwudziestu trzech ludzi, ja byłem dwudziesty czwarty i do tego nowy. Mnóstwo nieznanymi twarzami. A wszystkie przyglądają mi się jednakowo natęczywie. Ale mało było czasu, żeby tak dłużej się gapił, bo zaraz Sikora krzyknął:

— Za nosiki i do dren! Podzielił brygadę na osiem grup. Każda z nich miała wykonać co najmniej 100 proc. albo więcej normy, a wszystko na akord.

Wypadło mi iść z jakimś dwoma ludźmi, a każdy mógłby mi być ojcem. No i dobrze. Bierzymy te nosiki. Do „pięćdziesiątek”. Inni biorą do „siedemdziesiątek” albo „setek”.

— Może byśmy normę przekroczyli, Felek, co, jakby tak zdrowo...

— Nowego mamy. Niewprawni jeszcze. Żeby tylko swoje zrobić.

I zaczął się ten taniec. Ten balet. Ta muzyka. Nosiki, dre ny, sztapeł, przyczepa, sztapeł, dreny, nosiki, wagon, ładownia.

Mocne uderzenie. Nie mogę trafić w te cholernie małe otwórki w dremach. Druży od nositek rozchodzi mi się we wszystkie strony. Niech szlag trafi! Najpierw nie mogę trafić na jedną, a kiedy już trafiłem, to za nie nie mogę nadziąć dziesięć dren na dziesięć wystających drutów drugiej. Zanim przecełuję, zanim nawlekę, to Felek z tamym drugim dwa razy obróca, z wagonu na przyczepę, a ciągnik czeka i strasznie strzela.

Wreszcie jest już pełna przyczepa. Odjeżdża. Odpoczne trochę. Skądże! Jest już drugi z pustą. I znów ten sam taniec, ta sama muzyka. Coraz mocniejsze uderzenie. Ta przyczepa stoi dalej od wagonu niż poprzednia, trzeba przeska-kiwać te półtora metra odległości w tę i z powrotem.

Akord. Jak jest akord, to można zarobić, a studentowi pieniądze potrzebne. Teraz jest lato, jest sezon, to i jest akord. Zarobek — najmniej stówka za dzień roboty, a nawet czasami i do stu pięćdziesiąt można dociągnąć. Tylko,

że nie ze mną. Tak powiedział Felek, co mógłby być mi tatą — ale na przerwie to powiedział, nie podczas roboty.

— Trzy i pół zarabiałem w zeszłym roku. Ale to była brygada! Zaden się nie ociepał z robotą. Nikt nie pogrywał w nie wiadomo co. Wszyscy robiłiśmy jak woli — mówił Felek.

Felek zjadł ze swym kumplem chyba pół bochenka chleba ze smalcem kupionym w sklepie. Odbiło mu się. — No to dalej do roboty — powiedział.

Ręce pieką. Puchną. Żelazo weina się w dłoń. Będę miał bąble. Żeby skóra stwardniała musi upłynąć z miesiac. Najmniej miesiąc, żeby była taka twarda, jak u nich.

Już jeden wagon pusty. I drugi. Trzeci. Zdażymy? Jasne, że tak, tylko trzeba się pośpieszyć.

Inne grupy załadowują, co myśmy załadowali, z przyczepą na sztapeł. Sztapeł — wielka kupa równo ułożonych dren. To sztuka równo ułożyć dreny. Nie każdy potrafi. Dlatego tam pracują najbardziej doświadczeni.

Wreszcie koniec. Pod przys- nie i już można iść do domu.

WŁAŚCIWA SZTUKA we właściwym teatrze

„ADELA i STRESSY” zo stała napisana przez Braci Rojek według komediodfarsy „Le Don d'Adèle” (Talent Adeli).

Pierre Barillet i Jean Pierre Gredy, to spółka współczesnych autorów francuskich. „Le Don d'Adèle” (Talent Adeli) jest jedną z ich licznych komedii. Autorzy polskiej wersji „Adeli” odjęli jej wprawdzie „talent”, lecz dodając „stressy”, uczynili z niej bardziej złożoną i interesującą komediodfarę.

Już sam fakt wprowadzenia do blachej fabuły pojęcia stresu i związanych z nim „mini-wykładów” daje utworowi możliwości epatowania, tak modnymi ostatnio, nowalijkami ze wspólczesnej wiedzy medycznej, a w szczególności ze wspólczesnej psychiatrii. Współczesna, a nawet nowoczesna w swoim sposobie bycia rodzina Gaborów nawiedza dziś nao dziwy, bo ni mniej ni więcej tylko autentyczna dziewczica, która w dodatku jest studentką

architektury, posiada inteligencję, zgrabną figurę i ładną buzię.

Nie koniec wszakże dziewczynom, ona — Adela — posiada dar jasnowidzenia. Oto dowód jaką potęgą jest czystość.

Barbara Marszałek z wdziękiem i prostotą demonstrowa widowni te wszystkie „Adeline” przymioty nie zapominając, że i doskonałość ma swoje zabawne strony.

Bracia Rojek nie rzucają słów na wiatr. W ostatnim akcie z całym poczuciem odpowiedzialności udowadniają „dziewictwo” Adeli przy pomocy Tolka, syna Gaborów, co ją (Adelę) uszczęśliwia podwójnie — traci nader kłopotliwy i męczący dar jasnowidzenia, zyskuje zaś kandydata na męża. Oto dowód jakim cię żarem jest czystość.

Tolek syn Gaborów, to młodzieniec w istocie bystry i wielce utalentowany. Jest twórcą „nowego kierunku” w malarstwie, nie stety jak każdy młody i

początkujący, nie zdobył jeszcze uznania. Nie doceniła go nawet Adela w początkowym okresie. Andrzej Herder znów popisał się swobodą i wyczuciem komediodfarsy.

Ofiarą stressów jest Wacław Gabor, ojciec. On w końcu stanie się tym, który zademonstruje i potwierdzi zasadność „mini-wykładu” swej córki Violi, studentki medycyny. Jan Teżarsz prowadzi rolę ojca, fabrykanta guzików, z wymierzoną konsekwencją, nasilając ekspresję komediową o szczeniście, aż do momentu kulminacyjnego w scenie z szafą. Wydaje się, że ten sposób prowadzenia roli jest trafny, bo zgodny z narastaniem komediowości postaci w założeniach tekstowych.

Inaczej ma się rzecz z rolą lekarza psychiatry. Jest ona od początku „śmieszniejsza” i zbudowana na dość samograjowych założeniach komediodfarsowych. „Medice cura se ipsum”, ta przestroga w interpretacji komediowej dawała przeważnie niezawodne efekty na scenie. Sławomir Misłuriewicz wykorzystał zarówno swój wypróbowany talent komediowy jak i wypróbowane metody interpretacyjne, przesadzając nieco w groteskowości, przez co wyodrębnił się zbytnio na

tle całości, a na „finiszu” zabrakło „przyspieszenia”.

„Szafizm”, dowcipny termin wymyślony przez Braci Rojek, to niezawodna metoda ucieczki przed stresem. Psychiatra, którego zachowanie od początku wzbudza niedwuznaczne obawy, opowiada się w końcu za ideą spędzania życia w szafie, która służy tymczasem zastressowanemu Gaborowi jako schronienie.

Barbara Jaklicz jako Felicia, żona Wacława, miała dość trudne zadanie. Felicja deklamująca Szekspira przy każdej nadarzającej się okazji, to niewątpliwie osoba egzaltowana. Jednakże egzaltacja towarzysząca deklamacji i egzaltacja w moim potocznej nie różniły się dość wyraźnie w tonacji.

I wreszcie promotor „części naukowej” w spektaklu — Viola, medyczka. Chyba najmniej charakterystyczna rola i najmniej komediowa. Nina Król wysła obronną ręką z tej niezbyt wdzięcznej roli, dając tym dowód, że jej talent się rozwija.

Dowcipna scenografia Henri Poulaina stanowiła dobrą oprawę dla tej miłej komediodfarsy, dobrze dobranej do charakteru sceny.

Reżyseria Ireny Góreckiej.

„Adela i stressy”, Teatr 7.15.



Dwa razy o ludziach morza

Trzej marynarze po długim rejsie schodzą na ląd w Liverpoolu. Wszyscy marzyli o tej chwili przez długie tygodnie, obiecując sobie, jaką to zabawę urządzą na lądzie. Każdy ma też nadzieję załatwić jakąś swoją własną sprawę.

Jeden z marynarzy ma zamiar dać na mszę za pamięć kolegi, który zmarł w czasie rejsu i pochowany został po marynarsku gdzieś bodaj na Morzu Karaibskim. Ale po drodze spotyka dziewczynę, z którą przeżywa piękny moment rodzenia się miłości. Cóż, kiedy dziewczyna okazuje się wdową po spoczywającym na dnie morza koleźce Sen o miłości prześnił się, pozostaje niesmak i poczucie winy wobec zmarłego.

Drugi z chłopców idzie się spotkać z ojcem, starym irlandzkim pijakiem, wycierającym miejsca w barach i knajpach Liverpoolu. Ojciec zawsze faworyzował drugiego brata. Marynarz wiezie mu drobne prezenty, ma nadzieję, że coś się może zmienić, ale spotkanie z ojcem przekonuje go, że wszystko jest po staremu. Drogi syna i ojca rozchodzą się.

Trzeci marynarz, piąty oficer na statku, którym dowodzi jego własny ojciec, ma także swoją trudną sprawę do załatwienia. Od matki otrzymał wychowanie purytańskie, unika więc normalnych marynarskich zabaw, stara się wieść bezgrzeszne życie. Ojciec, rasowy wilk morski, gardzi takim postępowaniem i ignoruje syna na pokładzie. Chcąc przełamać zapórę chłopak wypija w barze w obecności ojca podwójną wódkę i z miejsca się upija. Nie zdobywa sobie uznania w oczach ojca.

I tak właściwie kończy się eskapada trzech marynarzy na ląd. Niewiele się właściwie działo, ale dość, by powiedzieć jakieś skromne przynajmniej prawdy o człowieku i o skomplikowanych zakamarkach jego psychiki. Wszystko w sztafażu drobnych, codziennych spraw, doświadczeń dostępnych widzowi w praktyce życiowej.

W tej prostocie i szczerości tkwiła chyba główna wartość sztuki telewizyjnej znanego dramaturga angielskiego Aluna Owena. „Nie ma tramwaju na Lime Street”, którą w reżyserii Davida J. Thomasa oglądaliśmy na ekranach naszych telewizorów w ramach cyklu „Teatr TV na święcie”.

Nie streszczałbym tego widowiska BBC — nie mam tego zwyczaju — gdyby nie mimowolna paralela, jaka sama się nasuwa. Zaledwie na parę dni przed sztuką Owena Telewizja Gdańsk nadała widowisko Stanisławy Fleszarowej-Muskat „Zatoka śpiewających traw”.

I tutaj mieliśmy do czynienia z ludźmi morza, i tu autorka prezentuje zestaw ich spraw do załatwienia na lądzie. O ile jednak pierwsze z omawianych widowisk cechowała prostota i niewymiślność motywacji posunięta aż do konwencjonalności, o tyle u Fleszarowej sprawy robią wrażenie wydumanych i nieprawdziwych. Sądu swego nie zmienię, nawet gdyby się okazało, że ten czy ów wątek oparty jest na autentycznym wydarzeniu. Bowiem prawda życiowa i prawda artystyczna, to nie to samo.

Stary Kaszub, który sam wymierza sprawiedliwość i wiezi hitlerowskiego zabójcę przez dwadzieścia pięć lat we własnym domu? To mimo woli nabiera cech groteskowych. Groteskowa jest też snująca się po tawernach nadmorskich dziewczyna-topielica, zadająca obsesyjnie jedno pytanie: „Zenona nie ma?” Nawet z ciekawie zarysowującej się relacji, ojciec kapitan marynarki — córka inżynier, nie nie wynika. Osładamy na mieliźnie.

Nie chcę bawić się w tanie porównania. Ale na dwóch wspomnianych przykładach — angielskim i polskim — przeprowadzić można tezę, że u nas mało powstaje takich widowisk telewizyjnych, które dla wielomilionowej widowni byłyby jak chleb powszedni. Oscylujemy stale ku manierzymowi, udziwnianiu, naśladowaniu teatru i literatury awangardowej. Nie pamiętamy, że za granicą literatura awangardowa stanowi tylko niewielki procent twórczości. Reszta to normalna, użytkowa, nie bójmy się słowa: tradycyjna produkcja dla ludzi.

Sztuka Owena jest przykładem twórczości dla masowego odbiorcy programów telewizyjnych. A sztuka Fleszarowej? Dalibóg, nie wiem dla kogo!

WLADYSŁAW ORŁOWSKI



„KORZYSTAJ Z DNIA”

Saul Bellow pisarz średniego pokolenia należy nie wątpliwie do czołówek współczesnych pisarzy amerykańskich. Jest on także wybitnym eseistą. Pisarstwo jego różni się zasadniczo od dziedzictwa wielkich poprzedników — W. Faulknera, E. Hemingwaya, czy F. S. Fitzgeralda, choć związki Bellowa z tym ostatnim wydają się być najsilniejsze. Przyczyn tego zjawiska należy upatrywać w tym, że zaczął on tworzyć w odmiennych warunkach cywilizacyjnych niż jego wieleci poprzednicy.

Prezentowana polskiemu czytelnikowi powieść „Korzystaj z dnia” jest po-

wieścią psychologiczną. Narrator opowiada nam o losach Tommy'ego Wilhelma, przeciętnego Amerykanina uwikłanego w kłopoty finansowe. W partiach retro spektynych autor mówi nam o całym jego życiu w skrócie nieomalże telegraficznym, o kłopotach wieku młodzieńczego, o nieudany mariaż, wreszcie o miłości bohatera, który porzucił dom i chciał połączyć się z ukochaną dziewczyną, z którą miał się pobrać, gdyby udało mu się uzyskać rozwód. Na koniec autor wprowadza nas w klimat katastrofy na którą złożyły się nie tylko przyczyny zewnętrzne, lecz także i to co było, co trwało w nim samym. Autor nie poprzestaje na rysunku psychologicznym, pokazuje nam także uwarunkowania społeczne zachowania bohatera. Mamy więc obraz jego życia objawiony w pełni, pogłębiony. Rzecz została napisana znakomicie, niezwykle prosto, ale zarazem wnikliwie.

W konstrukcji powieści Saula Bellowa podobna jest do dramatu antycznego, zachowuje ona tę klarowność i prostotę, która cechowała dramaty antycz-

ny, która jest cechą dzieł sztuki najwyższej próby.

Saul Bellow: „Korzystaj z dnia”, Czytelnik, W-wa 1969, cena 14 zł.

„WITAJ BRACIE! PISAĆ BARDZO TRUDNO”

„Jest to jedna z tych książek, które pisze się całe życie” zaznacza notka wydawcy. Dla ścisłości nie jest to książka w znaczeniu konwencjonalnym, bowiem każdy jej rozdział stanowi odrębną, zamkniętą całość. Jest to książka wspomnień o ludziach, których znał, z którymi się przyjaźnił autor. Wniemin Kawierin jest znany u nas przede wszystkim jako autor książki dla młodzieży „Dwaj kapitanowie” oraz trylogii „Otwarta księga”. Natomiast ta, którą prezentujemy czytelnikowi za wiera wiele elementów autobiograficznych, ukazuje proces pracy nad sobą nad tworzywem, z którego później powstaje powieść oraz opowiada o pisarzach którzy na stałe weszli do literatury radzieckiej czy też światowej. I choć nie są to wspomnienia potraktowane na zasadzie opisów lecz

subtelne portrety literackie Majakowskiego, Erenburga, Tynianowa, Bulharkowa, czytający znajdzie w nich wiele nie znanych dotąd szczegółów, psychologicznych przesłanek, uzupełni posiadane wiadomości o nowe fakty.

Wniemin Kawierin postępuje się dowcipem, spo kójną narracją, bardzo często ironią. Jest pełen uznania dla swoich „wielkich współczesnych”, jednak dostrzega wszystkie ich wady zarówno jako ludzi jak i artystów.

Obok tego zasadniczego wątku, jest część krytyczno-filozoficzna, kiedy Kawierin usiłuje odpowiedzieć na pytania stawiane współczesnej literaturze, stara się przywrócić prawie obywatelstwa takim chociażby tematom jak miłość.

W trzeciej części książki mówi o sobie, o tym co zdecydowało, że został pisarzem, o moralnej odpowiedzialności piszącego przed sobą i przed czytelnikiem.

E. L.

Wniemin Kawierin: „Witaj bracie! Pisać bardzo trudno” Książka i Wiedza. 1969 r. Stron 244. Cena 15 zł.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Miklos Jancso cieszy się opinią jednego z najbardziej interesujących twórców współczesnego kina i jest niewątpliwie najwybitniejszą indywidualnością na firmamencie kinematografii węgierskiej. Wystarczy powiedzieć, że sam wielki Lukács, znawca najprzedniejszych spraw sztuki i estetyki udzielił obszernego wywiadu, poświęconego wyłącznie twórczości Jancso. Dla Lukácsa filmowa trylogia Jancso („Desperau”, „Gwiazdy na

czapkach”, „Cisza i krzyk”) stanowi najznakomitsze osiągnięcie artystyczne minionego dwudziestoleciolecia (oczywiście na Węgrzech) i zarazem manifestację sztuki w pełnym tego słowa znaczeniu socjalistycznej.

Jancso jest bez wątpienia indywidualnością niepospolitą. Jego filmy wywołują uczucie podziwu, zachwytu, albo gwałtownego sprzeciwu. Dotyczy to także „CISZY I KRZYKU” dzieła, które właśnie wchodzi na nasze ekrany. Rzecz dzieje się w roku 1919 w okresie białego terroru szalejącego na Węgrzech po obaleniu Węgierskiej Republiki Rad. Reżyser w sposób prawdziwie mistrzowski posługuje się środkami filmowej ekspresji tworząc klimat absolutnego koszmaru, całkowitego osaczenia człowieka, osaczenia fizycznego, moralnego i psychicznego. Postacie filmu przechodzą przez piekło poniżenia i udręki, a autor z nie pozbawioną sadyzmu satysfakcją zdaje się przypatrywać ich upadkowi, jak gdyby szukając granicy ludzkiej wytrzymałości, granicy zła. Jancso z przerażającym okrucieństwem ukazuje mechanizm przemocy, potworny, wszechogarniający. Stopniowo zanika bowiem granica dzieląca

katów i ofiary. Przemoc przestaje być siłą zewnętrzną. Staje się sposobem istnienia. Można by, używając modnej terminologii, powiedzieć, że Jancso tworzy sytuację modelową. Tym bardziej, że nie odnawia on żadnych motywacji postępowania postaci. Motywacje istnieją oczywiście w świecie pozakranowym, w rzeczywistości historycznej. Ale na ekranie, pozbawiony racjonalnego uzasadnienia terror nabiera cech absurdu, koszmaru, staje się celem samym w sobie. Ziemia przemienia się w królestwo przemocy i strachu. Postać komunisty Istwana, wbrew intencjom scenarzysty, niezdolna jest przeciwstawić się owemu obezwładniającemu absurdowi. Ostatni gest Istwana, to nie tyle akt protestu, walki, ile rozpaczliwy odruch samoobrony, głos instynktu, który w tym potwornym, świecie kafkowskim świecie staje się jednym przejawem człowieczeństwa. Rozumiem intencje reżysera, ale nie potrafię przyjąć jego wizji desperackiej i obsesyjnej, acz przynajmniej oszczędnie, niezwykle sugestywnej. Osłabła konstrukcyjną „Ciszy i krzyku” jest rytm. Rytm ruchów kamery i aktorów (długie i bardzo skomplikowane

ujęcia), rytm warstwy wizualnej (kompozycje czerni i bieli tudzież elementów przestrzennych) oraz rytm warstwy dźwiękowej (dialog — ogranicza się prawie wyłącznie do słów komendy i krótkich skandowanych rozmów).

Miłośnicy Zbyszka Cybulskiego ze wzruszeniem obejrzą film Jana Laskowskiego „ZBYSZEK”. Różne twarze aktora — kawał cieżkiej polskiej kinematografii. „Pokolenie” i „Koniec nocy”, „Popiół i diament” i „Salto”, „Jutro Meksyk” i „Pingwin”. Grał czy był sobą? A jeśli był sobą, to właściwie kim był? Co jest prawdą o nim, a co legendą? Na te pytania próbowano już wielokrotnie odpowiedzieć i z mizernym, jak się zdaje, skutkiem. Film Laskowskiego nie przy nosi żadnych w tej mierze rewelacji. Zamiarem autora było pokazanie osobowości aktora poprzez jego ekranowe wcielenia. Rzecz w tym jednak, że film Laskowskiego rozpada się, rwie się co najmniej na trzy części. Dobór niektórych fragmentów wydaje się chwilami przypadkowy. Ale w pewnym momencie coś się zaczyna dziać. Interesujący montaż sekwencji „Miłość dwudziestolatków”, „Popiół i dia-

mentu”, „Szyprów”, „Salta” i „Końca nocy” układa się w sensowną całość. Rodzi się Cybulski — symbol pokolenia, zmęczony bohater naznaczony piętnem historii. Niepotrzebnie jednak Laskowski ucieka się do pomocy materiałów dokumentalnych, które stanowią ciałko obce w tkance filmu o filmie i o bohaterze filmowym, a ponadto wnoszą jednoznaczność i pewien banał właśnie w chwili, gdy film zaczyna ocierać się o poezję, gdy zmontowane razem fragmenty różnych dzieł tworzyć zaczynają wielką metaforę. A już niezamierzenie komiczny efekt osiąga reżyser łącząc kolejno ujęcie Cybulskiego wołającego przez okno „kocham was ludzie” i bliżej nieokreślony tłum ludzi krzyczący coś w ramach manifestacji lub wiecu. Natomiast pomysł z wykorzystaniem wierszy Baczyńskiego w wykonaniu Demarczyka bardzo ładny. A film i tak wszyszek obejrzą, bo ktoś oparby się pokusie zobaczenia raz jeszcze naszej jedynej gwiazdy legendy ekranu, polskiego Jamesa Deana, który dziwnym losu zarządzeniem, pierwemu wzorowi swemu pozostał wierny, na polską modłę, nawet w śmierci.

SWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Jacquou jako dziecko w filmie „Jacquou le Croquant”

„JACQUOU LE CROQUANT”

Ostatnio ważnym wydarzeniem we francuskiej telewizji stało się wyświetlenie w sześciu kolejnych odcinkach telewizyjnego filmu pt. „Jacquou le Croquant”, nakręconego przez Eugène Le Roy zmarłego w 1907 roku. „Jacquou le Croquant” jest opowieścią o dziejach chłopskiej rodziny nekanej przez możnowładców i o walce

Jaka chłopci podejmują przeciw swym ciemiężycielom. Główna akcja umiejscowiona jest w latach 1815 do 1830 w okolicach Perigord na południowym wschodzie Francji. Bohaterem powieści (i filmu) jest Jacquou, którego gra trzech aktorów, bo na podstawie powieści pod tym samym tytułem. Autorem książki jest dziś już prawie zapomniany pisarz Eugène Le Roy zmarły w 1907 roku. „Jacquou le Croquant” jest opowieścią o dziejach chłopskiej rodziny nekanej przez możnowładców i o walce

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSOW”:

- ♦ JAN KOPROWSKI — Trzy godziny z Tadeuszem Peiperem
- ♦ HONORATA CHRÓSCIELEWSKA — O góralskim poecie
- ♦ KAROL BADZIAK — Wieczory przy kominku
- ♦ FELIKS BABOL — Rekonstrukcja

o budownictwie spółdzielczym rozmowa z dyr. CZESŁAWEM GŁĄBSKIM, recenzje, felietony, nowela kryminalna.

od niedzieli do niedzieli

ZRECENZOWANE RECENZJE

NIE KRYTYKOWAĆ — TOWARZYSKIE FAUX PAS — 200 RECENZJI POD LUPĄ — ZABAWNY SŁOWNICZEK — KTO JEST OKROPNY? — DOBRZE, ALE NIE BEZNADZIEJNIE

Obserwując literackie życie od wielu przecięt lat irytuję się pewnym dość specyficznym zjawiskiem. Otóż tak jakoś ułożyła się obyczajowość literacka na szego kraju, że nikt niktogo nie chce urazić, wszyscy są szalenie grzeczni — słowem nie spotyka się prawie wcale negatywnych recenzji książkowych. Z obrazu naszej krytyki literackiej wynika, że ukazują się w Polsce prawie wyłącznie książki znakomite lub w najgorszym wypadku bardzo dobre.

Istnieje właściwie pewna niepisana umowa, pewna zasada w myśl której o książkach niedobrych, nie udanych po prostu się nie pisze. Rzadko kto i rzadko kiedy wyłamuje się z tej zasady. W tej specy-

ficznej obyczajowości recenzje krytyczne są w naszym kraju wydarzeniem literackim, powodują swoje lste burze w szklance wody, wywołują polemiki prasowe itp.

Odczułem to niedawno na własnej skórze, kiedy napisałem parę krytycznych uwag na marginesie pewnej książki znanego pisarza. Posypały się listy czytelników „za” i „przeciw”, sam autor rzucił pod moim adresem na łamach „Kultury” kilka cierpkich słów, dorzucił swoje trzy grosze nawet humorysty ze „Szpilek”. I chociaż jestem przekonany, że moje uwagi krytyczne są słuszne (inaczej przecież bym ich nie publikował) — czuję się trochę jak człowiek, który w wy-

twornym towarzystwie po pełnił faux pas.

Również niedawno miałem nieszczęście napisać krytyczną recenzję z pewnej książki dla młodzieży. Recenzja jeszcze się nie ukazała, a już autor książki był łaskaw interpelować mnie w tej sprawie. Więc znów towarzyskie faux pas?

Zjawisko to godne jest badań socjologicznych zwłaszcza, że obserwuje się je nie tylko na literackim polu. Zanim jednak zainteresuję się nim socjolog, zobaczmy co na ten temat ma do powiedzenia teoretyk i badacz prasy, Walery Pisarek. W jednym z ostatnich numerów „Zeszytów Prasoznawczych” znalazłem właśnie świetny esej tego autora na temat słownictwa oceniającego w recenzjach książkowych.

Jako materiał posłużyło Pisarkowi 200 recenzji książkowych opublikowanych w „Kulturze” i „Zyciu Literackim”. Z tych 200 recenzji wypisano na kartkach wszystkie wyrażenia i zwroty oceniające pozytywnie lub negatywnie recenzowane dzieło. „Na podstawie tych danych — pisze Walery Pisarek — można sformułować pierwszy wniosek: recenzenci obu tygod-

ników raczej chwalą niż ganią omawiane książki”. Na przykład na 110 przebadanych recenzji z „Kultury” negatywnych jest... dziewięć. W „Zyciu Literackim” stosunek ten jest nieco inny, ale i tu na 86 recenzji — pochwalnych jest sześćdziesiąt trzy.

Ciekawie i chyba dość zabawnie wygląda sporządzony przez Pisarkę słowniczek środków leksykalnych służących do chwaleń. Otóż wśród recenzentów największe powodzenie mają zwroty „bardzo ciekawa” (książka) — „interesująca”, „świetna”, „znakomita”, „prawdziwie piękna”, „bardzo dobra”, „cenna” i „bardzo ambitna”. Wśród pięćdziesięciu zwrotów i określeń pochwalnych jakie zawiera słowniczek znajdujemy też takie jak „mądry”, „oświecający”, „pełen wiedzy i wdzięku”, „niefałszowanej jakości”, „wnikliwy”. Słowem absolutny Wersal.

Oceny negatywne występują — jak rzecz Pisarek — rzadziej, więc i słowniczek „ganiący” zawiera tylko... szesnaście zwrotów i wyrażeń. Największym wzięciem cieszą się określenia „bełkotliwy” i „zagmatwany”. Recenzenci na skutek braku praktyki w tym względzie nie są zbyt mocni w przyganach,

Wśród środków leksykalnych służących ocenie negatywnej znajdujemy tak wnikliwe jak... „okropny” czy „jałowy”. Rzeczywiście — jeśli krytyk nie jest w stanie napisać na temat utworu nic mądrego — ponad to, że jest on „okropny”, to istotnie lepiej niech już recenzuje wyłącznie grzecznie i na płatkę.

Nie jest o krytykach najłepszego zdania znakomity „alchemik słów” Jan Parandowski. Napisał przedzieł kiedyś o recenzjach, że „po większej części są to bezwstydnie komunały i obscurne frazesiska”. Walery Pisarek przyznaje, że owa opinia Parandowskiego inspirowała w pewnym stopniu badania nad słownictwem recenzji. Ale nie martwmy się — pociesza nas Pisarek — „choć wielu recenzjom można zarzucić ogólnikowość, niezdecydowanie, subiektywizm, pretensjonalność i sporo innych słabości — „bezwstydnie komunały i obscurne frazesiska” zdarzają się w nich niezmiernie rzadko”. Czyli — jak mówi popularne porzekadło — sytuacja jest dobra, ale nie beznadziejna.

JERZY WIDOK

SZTUKA NA SAHARZE

Tym razem nie chodzi tu o wykopaliska i zabytki jak na Saharze zostawili ludzie żyjący tam przed tysiącami lat lecz o współczesne dzieła sztuki. Na Saharę udał się niedawno niemiecki artysta awangardowy, Heinz Mack aby wśród piaszków pustynnego krajobrazu, pod palącym słońcem Afryki przez pięć dni ustawiać na piasku swe kompozycje przestrzenne. Wraz z artystą w okolicy ony Ke-... w Tunezji udała się ekipa TV dla dokonania zdjęć.

Heinz Mack użył do swych dzieł takich materiałów jak metal, szkło, folia aluminiowa i pleksi-glas. I oto na pustyni wykwitły mieniące się w słońcu przedziwne formy przestrzenne podobne do kwiatowych konch, zrebów gór, odłamków skalnych lub świetlistych wież. Zdjęcia do kolorowego filmu telewizyjnego robiono w różnych porach dnia uzyskując różnorodność barw i niesłychane bogactwo efektów świetlnych. Bo-... Macka od lat interesuje zagadnienie wibracji światła. Film sporządzony na Saharze został zatytułowany „Telemack” i jest przeznaczony dla barwnego programu zachodnoniemieckiej TV. Równocześnie ukazuje się w druku książka Macka pt. „Sztuka na pustyni” zawierająca reprodukcje jego kompozycji.



Simone Berteaute — autorka wspomnień o Piaf

WOKÓŁ KSIĄŻKI O PIAF

„To niesłychane, co przeczytałem w książce Simone Berteaute o Piaf. Nie wiarygodne są te wszystkie historie o marynarzach, spahisach, żołnie-

rzach Legii Cudzoziemskiej, z którymi kładła się do łóżka” — powiedział słynny francuski pisarz Francois Mauriac. Książka Simone Berteaute (znana u nas z fragmentów drukowanych w „Przekroju”) cieszy się we Francji niesłabnącym powodzeniem. W ostatnich dwóch miesiącach osiągnęła ćwierć miliona nakładu i wciąż utrzymuje się jako bestseller zaraz po „Motylu” Charriere’a. Krytyka przyjęła ją dobrze podkreślając wyjątkowość szerokości autorki, bezpośredniości relacji, jedność języka i żywość opisu. Niektórzy z krytyków dopatrują się nawet pewnych analogii z dziełami pisarzy tej miary co Hugo lub Zola. Ale równocześnie wiele osób występuje z pretensjami o znieśławienie. I tak np. Marinette Cerdan, wdowa po sławnym bokserze francuskim, mistrzu świata Zarda dla siebie i swych trzech synów odszkodowania w wysokości ćwierć miliona franków za znieśławienie pamięci męża. A właśnie teraz, w dwudziestolecie śmierci Marcela Cerdana, wiele pism nieraz w długich artykułach przypominają postać słynnego sportowca, podkreślając m. in. jego przywiązanie jakie żywił do swej legalnej małżonki i swych dzieci.

Brat Piaf, Herbert Gassion i jej siostra przyrodnia Denise Brossard określa ją Simone jako hochsztaplerkę, twierdząc, że to co naplotkowała o wielkiej śpiewaczce jest „systematycznym zniesławianiem Piaf, jej rodziny i jej przyjaciół”. Była sekretarka Piaf, Suzanne Flon oświadczyła, że nigdy nie słyszała, aby śpiewaczka nazywała kiedokolwiek Simone swą siostrą. Ale ona wcale nie jest siostrą Piaf — mówi Herbert i Denise. Simone Berteaute poznała o trzy lata starszą od siebie, piętnastoletnią Edith Giovannę Gassion, późniejszą Piaf, w roku 1930. Odtąd już „Momone” jak nazywała Simone śpiewaczka, będzie jej towarzyszyć jak cień aż do śmierci. Ktoż jednak dziś ustali czy „Momone” była jej przyrodnią siostrą? Ojciec Piaf, Louis Gassion, uliczny akrobata znany był ze swych miłostek. Podobno miał dziewiętnastoletnią dziewczynę, tylko niektóre z nich zachowały jego nazwisko.

Herbert i Denise zażądały konfiskaty książki, aby — jak twierdzą — zapobiec „coraz głośniejszemu skandalowi”. Na razie jednak sąd przyjął ich skargę o zniesławienie śpiewaczki. Zdaje się więc, że Simone Berteaute czeka kilka procesów.

Spektakle tygodnia

spektakli widzów proc.

TEATR WIELKI

„Kniaź Igor”	1	1200	100
„Jeziro labędzie”	1	1200	100
„Zemsta nietopery”	1	1200	100
„Cyrułik sewilski”	2	2520	100

NOWY

Występy Zespołu Rajkina	2	1400	100
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę	2	1400	100
„Życie jest snem”	1	700	100

MAŁA SALA

„Szkoła kobiet”	1	200	100
„Kaprys”	1	200	100
„Księżyc świecił nieszczęśliwym”	2	600	75

POWSZECHNY

„Kawior i kaszanka”	2	1320	100
„Boso, ale w ostrogach”	2	1320	100
„Płaszcz”	1	650	99

Bez strachu

SPOJRZENIE Z BOKU

Współczesny człowiek umie na siebie spojrzeć z boku — jest to jego niewątpliwą zaletą, jego szansą. Nie chodzi mi o oglądanie samego siebie z boku, oglądanie pojęte jako stała dodatkowa funkcja to zbyt techniczne, manieryczne zużycie energii psychicznej, to rozdwojenie i rozszczepienie. Zatem nie oglądanie, lecz spojrzenie — nagła i ostra wizja samego siebie, wizja, w której zawarta jest podstawa wa. egzystencjalna nieledwie ocena... Oto gniewam się i krzyczę, oto łękam się i krzyczę, oto wele się i krzyczę, a przecież mam lat dwadzieścia, czterdzieści, osiemdziesiąt, jestem mężczyzną, kobietą, dysponuję takim i takimi możliwościami, przez gniew, przez lęk, przez radość możliwości tych nie realizuję — do spełnienia siebie potrzebna jest praca — pora zatem skończyć z samooszustwem, spojrzeć prawdzie w oczy, „Cóż jest prawda?” — o-tóż prawda, jedynie nam dostępna ludzka prawda (o prawdzie motyli, pajaków, kolibrów i tygrysów nie wiem) widziana jest intuicyjnie właśnie przez spojrzenie z boku — prawda Kowalskiego to wizja Kowalskiego dana mu w spontanicznym spojrzeniu, mianowicie wizja Kowalskiego odkonwencjonalizowanego. Kowalski, który krzyczy: „Psiakrew nie mogę dostać gutaperki i chloropromazyny, przez cały dzień, niech to piorun strzeli, daremnie szukam pumpernika!” to Kowalski fałszywy, pogroźony w konwencji, to Kowalski funkcja, Kowalski wypadkowa mało ważnych stereotypowych spraw. Tak krzyżujący Kowalski przekształcił się nieomal w jakiś układ egzystencjalny zbudowany z intensywnych wyobrażeń i pragnień gutaperki, chloropromazyny, pumpernika. Osobliwie wierzę w Kowalskiego — Kowalski jest współczesny i ma szansę. Pewnego dnia, biegnąc ulicą spojrzę na siebie z boku powie „Dlaczego biegnę, krzyczę i szukam — ja jestem Kowalski, mam czterdzieści lat — oto mogę udać się gdzie zechcę — odejść od spraw nielotnych, z którymi u-tonałem się błędnie i bezmyślnie”. Wystarczy kontakt z prawdą o sobie przez trzy, cztery sekundy. Błyskawiczna wycieczka do punktu odległego od osobnika o kilka metrów, do małego obserwatorium... Czasami trzeba spojrzeć na siebie z boku z odległości. Kowalski jest w Łodzi, ale myślami powędrował do Krakowa i spogląda na siebie z Wioły Mariackiej. Myśli „Idę teraz ulicą — Kocham Kunegundę z ulicy Piotrkowskiej, nie cierpię Pankratego z Mickiewicza, a mógłbym przecież iść do Krakowa i usilnie patrzeć na siebie z Łodzi, być może wtedy kochałbym Brygidę z ulicy Wiślanej a nienawidził Bazylego z Plantów! Tak myśląc Kowalski ze stoicyzmem i leciutkim sceptycyzmem poznałby intuicyjnie prawdziwie, względność sytuacji uczuciowej, w której się porusza, poznałby dlatego właśnie by odnaleźć autentyczną miłość, literalną ani moją godną jego, który patrzy na siebie i widzi, że ma lat dwadzieścia, czterdzieści, osiemdziesiąt.

BERNARD SZTAJNERT

Wielka OKAZIA

Dokończenie

Przerażał go chłód z jakim wszystko omawiała. Zaczął się wahać.

— Jeżeli wolisz, możesz sam pojechać do Buenos Aires i tam będziesz mnie oczekiwał. Dam ci pieniądze na podróż.

— A z czego będą tam żył? Uśmiechnęła się. — Nie masz

zbyt wielkiego zaufania do mnie, prawda?

Niestety, zgadła. Gen była ko bieta, o jakiej zawsze marzył. Pragnął być z nią razem, lecz nie miał do niej zaufania. Nawet był z tego zadowolony, bo spotkawszy tak interesującą ko bieta nie stracił głowy ani swe go znakomitego oka.

Gen zgodziła się wycofać z banku 250 funtów dla niego na niedzielę wieczór. Pieniądże na podróż do Argentyny miała przy sobie i wręczyła mu je od razu.

— Resztę dostaniesz gdy poka żesz mi bilet na samolot. Następnego dnia George po jechał do Londynu i kupił bi let. Potem wrócił do Worthing. Sobotę i niedzielę spędził na go rączkowym oczekiwaniu. Próbo wał uspokajać się myślą, że w tej sprawie naraża się tylko sa ma Gen. Jak skończy życie Fos ter było mu obojętne.

W niedzielę o dziesiątej wie czorem George biegł drogą, przy której wznosiła się Villa Maior ca. Wewnątrz nie paliło się żad ne światło. Nim zapukał — drzwi się otworzyły. W hallu stała Gen. Twarz kobiety była niezwykle blada.

— Wszystko dobrze? — szep nał.

Zobaczył biały pakunek na po dłodze. Gen zwinęła trupa w prześcieradło i mocno związała sznurem.

Ciągnęli razem zwłoki do ga razu, potem umieścili je w ba gażniku.

— Gdzie są ciężary? — przy pomnił.

Już w samochodzie — szepnęła Gen. Otworzyli garaż i wy jechali na ulicę.

Niebo było ciemne. Pani Fos ter wybierała boczne drogi, których George nawet nie znał. Po kwadransie zatrzymali się. Wystraszony George rozglądał się wokoło.

— Rzeka jest tam, za lasem. Pójdźmy tą ścieżką — wska zała Gen. — Tylko kilkadziesiąt metrów. Musisz go teraz nieść.

Lecz sama myśli o tym przy prawiała Mobley'a o zawrót głow y i mdłości. — Nie mogę — wyjąkał.

— Więc ja go zaniosę. Ty weź ciężary.

Przyszli nad rzekę i stanęli na moście. Gdy przywiązali cięż ary, Gen powiedziała: — Teraz musisz mi pomóc. — Podnieśli wspólnie biały pakunek i wrzucili do wody.

W powrotnej drodze George pokazał bilet na samolot. Wyciągnęła z torebki pakie cik i podała go mężczyźnie.

— Dwadzieścia banknotów po pięć funtów, a reszta po jednym funcie. Teraz już nic ci nie stoi na przeszkodzie jeśli mnie porzucisz. Prawda, George?

— Wiesz przecież, że tego nie uczynię — rzekł poważnie.

Późnym wieczorem Mobley pojechał do Londynu. Noc spędził w hotelu. Rano zjawił się w porcie lotniczym. Tam zatrzy mała go policja portowa.

W czym plan zawiódł? — gnę bił się. Może zwłoki wypłynęły?

— Czy znaleźliście go? — za pytał.

Inspektor, który prowadził śledztwo, odparł:

— Zaraz się wszystko wyjaśni. Był pan przyjęty jako sekretarz Foster'a, prawda?

— Tylko na dwa tygodnie.

Praca została już zakończona.

— I teraz chce pan jechać do Ameryki Południowej. Skąd ten pomysł?

— Mieszkam w wolnym kraju i mogę go swobodnie opuścić, gdy mam paszport w porządku.

— Skąd pan wziął pieniądze na podróż?

— Zaoszczędziłem je.

— A to? — Inspektor pokazał paczkę banknotów. — Proszę mi nie mówić, że i to pan zaoszczędził, ponieważ są to nowe bile ty i wiemy, że pan Foster pod jął je z banku kilka dni temu.

— Pan Foster?

— Na pewno. A co o tych rze czach pan powie? Należały do niego. — Inspektor pokazał szpil kę i spinki, które odebrano Mo bley'owi przy rewizji.

George zrozumiał w pełni o szustwo Gen, gdy inspektor pokazał mu fotografię człowieka znalezionej przez panią Fos ter z roztrzaskaną głową.

A więc to był James Foster, mąż Genevieve! Starszy pan, wyniosły dzentelmen z czarnymi wąsami, którego fotografię widział na stoliku w salonie!

W czasie śledztwa Genevieve Foster okazała się doskonałym świadkiem oskarżenia. Pograżo na w głębokiej żalobie, wytwor na i pełna godności, opowiedzia ła jak mąż, który był dyrektorem spółki bankowej i udawał się codziennie rano do Londynu, prosił ją, aby przyjęła tym czasowo sekretarza na pół dnia. Sekretarz miał przepisywać ma teriał topograficzny potrzebny do książki, nad którą Foster pracował.

— Mobley — opowiadała ze smutkiem pani Foster — wydał jej się młodzieńcem inteligentnym i uczciwym. Dopiero po dwóch tygodniach, gdy wybiera li się do znajomych, James nie mógł znaleźć brylantowych spłonek i szpilki. Wydawało jej się niemożliwe, aby Mobley popeł nił kradzież, lecz mąż nalegał, żeby go zbadać. Zatelefonował do hotelu i prosił, aby sekretarz natychmiast przybył do pałacu.

— James nie chciał abym była przy rozmowie — wyjaśniła. Pragnął oszczędzić mi przykrej sceny. Dlatego wyszłam z domu i udałam się na kolację do ku zyna, który mieszka w Haywards Heath...

Głos jej się zalał. Proku rator przerwał na chwilę przesu chanie, aby nieszcześliwa ko bieta mogła się uspokoić.

— I potem to straszne odkry cie... Zadzwoniłam do policji.

Jak wykazało badanie, Foster został zamordowany przy pomocy młotka. Młotek leżał obok ofiary i — jak później stwier dzono — posiadał odciski palców Mobley'a.

250 funtów zostało pobrane z banku przez Foster'a.

Oskarżyciel publiczny twier dził, że George po zabiciu Fos tera skradł owe pieniądze.

Witherspoon, adwokat Mo bley'a, był zdezorientowany zachowaniem się swego klienta.



Zastanawiał się nawet, czy nie jest on człowiekiem chorym umysłowo. George opowiadał fantastyczną historię na temat trupa wrzuconego do rzeki i za dał, aby dragować dno rzeki. Lecz gdy Witherspoon zapytał czyj to był trup, George zamknął się w głębokim milczeniu i wreszcie wyszeptał: „To był naturalnie manekin. Powinieniem był to ód razu zrozumieć”.

Jedynym wkładem Mobley'a do własnej obrony była seria oskarżeń, pełnych sprzeczności, skierowanych przeciw pani Fos ter.

Witherspoon znalazł się w roz dzwieku z psychiatrą, który za pewnił, że Mobley jest zupeł nie zdrowy umysłowo.

Na trzy dni przed rozpoczę ciem procesu zdarzył się wypadek. Pani Foster odwoziła sa mochodem swego kuzyna pana Lands z Londynu do jego willi nad morzem. W czasie jazdy, na ostrym zakręcie szosy jakiś wóz ciężarowy zagroził im dro gę. Skręcając gwałtownie w bok pani Foster straciła pano wanie nad kierownicą i uderzyła w drzewo. Oboje zginęli na miejscu.

Tragedia nie miała wpływu

na proces przeciw Mobley'owi. Zeznania pani Foster złożone już w czasie śledztwa odczyta no teraz publicznie na wniosek sędziów przysięgłych. Pozostały konkretne fakty i realne dowo dy, które nie wymagały dal szych zeznań: biżuteria, skradzione pieniądze, odciski palców na młotce, próba ucieczki do Argentyny.

Mobley nie polepszył swej po zycji upierając się w czasie ze znań, że pani Foster była jego współniczką w rzekomym planie pozbycia się kuzyna, który został mu przedstawiony jako jej mąż. Już po kwadransie narady przysięgli ogłosili werdykt: win ny!

Lecz ani werdykt, ani wyrok skazujący na dożywocie nie zmartwiły Mobley'a tak, jak je dno zdanie prokuratora wy powiedziane w czasie mowy oskar życielskiej: — Obrona nie zapre zentowała nam Mobley'a jako człowieka inteligentnego. Zasta nawiając się nad jego zezna niem na temat oszustwa, któ rego rzekomo padł ofiarą, mam prawo zapytać: „Czyż to możliwe, aby ktokolwiek mógł być do tego stopnia głupcem?”

Oprac. A.S.

„Siłaczka i Judym 69“

Redakcja „Odgłosów”, wspólnie z Zarządem Wojewódzkim ZMW oraz Wydział Kultury WRN organizują spotkanie społeczników Ziemi Łódzkiej pn. „SEJMIK SIŁACZEK I JUDYMÓW 69”. Celem tego spotkania będzie podsumowanie do robku pracy społecznej na przestrzeni 25 lat istnienia Polski Ludowej. Pragniemy również, żeby najlepší i najzarliwsi społecznicy woj. łódzkiego pod zielelili się swymi doświadczeniami, sukcesami i trud nościami w swej pracy, oraz zamierzeniami na przy szłość. W związku z tym ogłaszamy ankietę-konkurs, w której udział może, i powinien wziąć każdy działacz społeczny. Obok imienia i nazwiska, zawodu, wieku i miejsca zamieszkania prosimy o odpowiedzi na następujące pytania:

- ◆ Jakie cele zrealizowałem pracą społeczną?
- ◆ Jakie napotykałem trudności i jak je przezwyciężałem?
- ◆ Co zamierzam zrobić dla swej wsi, miasteczka, kraju w najbliższej przyszłości?
- ◆ Jaki sens ma dla mnie praca społeczna.
- ◆ Czy w naszych czasach jest miejsce dla „Siłaczek” i „Judymów”?

Autorzy najciekawszych wypowiedzi zostaną zaproszeni na spotkanie, a ich prace drukować będziemy na łamach „Odgłosów” i czasopism regionalnych. Gorąco zapraszamy do udziału w ankiecie. Prace można nadsyłać na adres redakcji „Odgłosów”, Łódź, Piotrkowska 96.

KOMITET ORGANIZACYJNY SEJMIKU „SIŁACZEK I JUDYMÓW 69”



Lewym okiem

W SPRAWIE „PANIENSKIEJ SKÓRKI”

Pisałem już kiedyś o tym, jak charakterystycznym dla Łodzi obrazkiem są grupy starszych panów, grających w parkach, na skwerach i na placach w warcabu, czyli po naszymu w „damkę”. Obrazki tego typu przyczyniają się do powstania niepowtarzalnego, indywidualnego oblicza miasta, są jego osobistą cechą, jego folklorem, tym, co przybyszowi rzuca się w oczy i pozostaje w pamięci. Łódź nie ma za wiele takich pamiętliwych drobiazgów.

Wielkie metropolie świata i w ogóle wszystkie wielkie miasta są na pewno podobne do siebie, są kosmopolityczne, szablonowo nowocześnie. Ale zawsze ostaje się tam coś, jakiś absolutnie nieważny drobiazg, jakaś specyficzna bzdurka, i tę właśnie się pamięta. W Budapeszcie wieczorem co parę kroków stoją sprzedawcy prażonej kukurydzy; mąż potrzasa nieustannie rusztem i podsypuje drzewnych węgielków, żona napelnia torebki spęczniałymi jak wata, białymi i gorącymi ziarnami. Takie torebki wi-

dzisz w rękach co drugiego przechodnia — zarówno dzieci, jak dorosłych.

W Sofii gryzie się mocno obtoczone w soli pestki z dyni, albo okrągłe, podobne do grochu ziarna zwane leblebiją. Trzeba mieć zęby ze stali, żeby te leblebije pogryźć, jest twarda na surowo i twarda po upieczeniu, smaku nietatwo się doszukać. Bułgarzy mają jednak zdrowe zęby i lubią je zatrudniać. Rumuni na najbardziej ruchliwych ulicach ustawiają piecyki do smażenia placków na oliwie. Piecyk taki czuje się nosem z daleka, wieczory bukareszteńskie nasiąknięte są tłustym zapachem gorącej oliwy; czasem na podobnym piecyku gotuje się w wodzie kolby kukurydzy.

W Warszawie mojego dzieciństwa smakołykiem, nie spotykanym nigdzie indziej, była „panieńska skórka” — różowa, twarda masa, klejąca się mocno do zębów, pachnąca różami. Babcia, która za pięć groszy urąbywała toporkiem odtatek „panieńskiej skórki”, znała nas po imieniu jako stałych klientów. Specjał ten można było dostać zimą na każdym rogu, tak jak latem — lody z zielonych drewnianych wiader. Pewnie, że to niehigienicznie, chociaż i wtedy sprzedawca musiał mieć na sobie biały fartuch, może nawet bielszy, niż dzisiejsza obsługa rożnów z kiełbaskami. Kiełbaskami też manipuluje się po prostu przy pomocy rąk, nie zawsze czystych. Zatujuj, że nie wypada mi już zafundować sobie „panieńskiej skórki” w ostatniej chyba sprzedawczyni kucającej przed hałą na warszawskich Koszykach. Dorosli u nas są poważni i wyżsi ponad to. Dopiero w Budapeszcie stoją w ogonku po kukurydżę.

Kraków ma swoje obwarzanki, przypominające przedwojenne stołeczne „bajele”. W Rynku i w przyległych uliczkach obwarzanki dostaniesz co krok. Turysty zagraniczni wieszają sobie na szyi całe wieńce, żują tę krakowską specjalność z namaszczeniem, zabierają w bagażnikach do swych dalekich domów.

Oczywiście, że to są wszystko pozostałości prowincji, smaczki infantylne, głupstwa nie warte wspomnienia. Jednakże wolałbym widzieć wokół siebie ludzi gryzących paleczki lukrecji, jak na ciasnych pasażach weneckich, albo liżących w styczniowy mroźny dzień lody z wąflowych kubeczków, jak na moskiewskich przystankach trolejbusowych, albo parzących sobie usta pieczonymi kasztanami jak w Belgradzie — niż gromady obrzydliwych typów z słachami piwa w rękach.

Szkoda, że takiej infantylnej tradycji w Łodzi nie mamy. Co oczywiście nie znaczy, żebyśmy ją mieli na siłę stwarzać, na wzór owych wydumanych, sztucznych, zaplanowanych „odgórnio” specjalności kuchennych poszczególnych restauracji. Specjalności tych i tak nie ma nigdzie poza wywieszką w oknie, a jeśli się już przez pomyłkę trafią — to jajecznica jest zwykłą banalną jajecznicą a „barszczyk po polsku” — błyskawiczną zupą z torebki za trzy złote. Taka to i specjalność.

Zaplanujmy coś lepiej w sprawie piwa. Ale o tym już było, ręce opadają.

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlch (dział publicystyki), Roman Łoboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzisław Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji), Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi, Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Reklamę i korespondencję przysyłajcie do redakcji, pocztowo, listonosze oraz Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamawia Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2427. B-12.